



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
 cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
 kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÖWNA W KSIĘGARNI WYDAWOC

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. i
 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Jesteśmy już w połowie Marca; maluczko, a wiosna zieloną gałązką przepędzi zimę i uśmiechnie się z wdziękiem do świata, zalotna, jak zwykle, i jak najczęściej, bałamutna i zwodnicza. Ale jest coś w tym uśmiechu całej przyrody tajemniczego, co rozpogadza dusze ludzkie i nadzieję w nich budzi, choćby po najcięższych zawodach.

„Przyjdzie wiosna, będzie lepiej“, — „Niech-no tylko Bóg da wiosny doczekać“, — powtarzają sobie ludziska i patrzą w niebo, czy daleko tam jeszcze do tej upragnionej krzepicielki, która przyjdzie ziemię obudzić z zimowego letargu i nowym życiem natchnąć całą przyrodę.

— Przyjdzie wiosna — będzie lepiej! — powtarzamy ze zwyczajnym optymizmem i tą wiarą w jutro, które, oby tylko gorszem nie było od dnia dzisiejszego, ale jakoś przekonania mniej w tem pocieszaniu się wzajemnem, jakoś coraz mniej ufności w tę wiosnę, która — przyjsć przyjdzie, bo musi, odwiecznym prawem, ale czy lepsze zmiany sprowadzi? — to zawsze jeszcze kwestya bardzo niepewna.

Za dwa tygodnie wyczerpie się ofiarność publiczna, która przez zimę karmiła u nas głodnych, ustanie wydawanie bezpłatnych obiadów i wobec niepewnego jutra, bez kęsa chleba, stanie znów tłum robotników z pytaniem: — „Cóż dalej z nami będzie?“

Przygnębieni, zbiedzeni, smutni, gromadzą się już teraz, szukając zajęcia, którego sztucznie nikt nie wytwarza, a stosunki ekonomiczne i przemysłowe w kraju zawsze na jednakowej stopie — bardzo niższej, się trzymają.

I znowu tasama dobroczynność, która najrozmaitsze u nas kwestye załatwiać musi, zostanie zawezwaną na pomoc, chociaż chwilowo, przeciw złemu, co się chronicznie powtarza i potęguje.

Oto podobno kilku właścicieli większych fabryk powzięło projekt dostarczenia biednym pozabawionym zajęcia robotnikom pracy, odpowiednio wynagrodzonej, w ten sposób, że przeznaczają zebrane drogą składową 25.000 rs. na wyroby zapasowe. W miarę pozbycia się w handlu wyrobów produkowanych fundusz zebrany ma być znowu obrócony na takisam użytek.

Zależec będzie od tego, jakiego rodzaju wyroby stanowić mają przedmiot tej produkcji przygodnej, która musi się opierać na praktyczności zapewniającej łatwy i szybki zbył w handlu; inaczej obrót kapitału nakładowego będzie bardzo powolny i wielkiego pożytku nie przyniesie.

Bądźcobądź, każdy środek, choćby najmniejszy, dążący do wyrwania naszego przemysłu z dzisiejszej martwoty, jest wielce pożądanym.

Trzeba próbować wszystkiego, aby tylko nie tonąć z założeniami rękoma.

Z kwestyą ekonomiczną idzie zazwyczaj w parze kwestya moralna i w miarę powiększającej się nędzy zwiększa się rubryka przestępstw kryminalnych.

Kradzieże, rozboje, napady w jasny dzień po ulicach i drogach, zasadzki na mienie i życie ludzkie, stoją dziś na porządku dziennym; trzeba by z tego wnioskować, że demoralizacya, aż do żezwierżenia doprowadzona, jest rakiem tocącym uboższe warstwy naszego społeczeństwa; ale nie jest ona tylko wynikiem zepsucia się dusz ludzkich, nie jest jakąś karierą w normalnych warunkach społecznych: wytwarza ją, niestety, dzisiejsza sytuacya.

Głód i nędza do rozpaczliwych popychają kroków tego samego biedaka, który gdyby miał kawałek chleba i jakątaka sposobność zarobku, nie

pomyślałby może o kradzieży albo rozboju i szanowałby cudzą własność według przykazań Bożych.

Ród Jean-Valjean'ów rozmnaża się, z dniem każdym, a jakiegokolwiek są tego powody, objaw pozostaje ujemnym i smutnie świadczy o zaszczerpionym jądzie rozkładowym.

Czyż nie jest usprawiedliwioną ta tęsknota do wiosny odradzającej, która ma odświeżyć ziemię, a oby odświeżyła i całą moralną naszą atmosferę!

Przybądź-że wiosno: przynieś z sobą coś lepszego!

Tylko, że i jej przybycia ze strachem wyglądać musimy; wszakże to jesień cholery nam zesłała, a tylko technienie mroźnej zimy ochroniło nas od nowych i strasznych klęsk.

Jakiś telegram prywatny z Marsylii przyniósł już echo alarmu, że epidemia tam z zatłumionego ogniska zarazy znowu powstała. Wieści tej, na szczęście, nie potwierdzono urzędownie, ale niema nieprawdopodobieństwa, aby jutro zkadinał nie uderzono znowu na trwogę. Kiedy zima ściagnie swój pancerz lodowy, pierwsze promienie wiosennego słońka mogą morową zarazę nanowo rozpuścić po Europie.

Musimy tedy mieć się na ostrożności i niebezpieczeństwa nie lekceważyc, jak to bywa naszym zwyczajem.

Nie chciejmy budzić licha, póki śpi, ale sami przy niem nie zasypiamy.

Strach pomyśleć, cobysmy zrobili na wypadek pojawienia się epidemii ne wiosnej! W normalnych już warunkach umierać muszą ludzie na bruku albo na barłogu, bez wszelkiej pomocy: a cóż dopiero w nadzwyczajnych wypadkach szerzącej się zarazy!

Medycyna obliczyła, że w roku zeszłym 4,253 osoby musiano odprawić od drzwi szpitali warszawskich, z braku miejsca, bez lekarskiej porady i opieki. Specjalny ten organ robi słuszną uwagę, że złemu należałoby zapobiedz przez utwo-

rzenie odpowiedniej liczby szpitali barakowych; obecnie posiada takie baraki szpital Dzieciątka Jezus, a na wypadek cholery posiadzie je i szpital św. Łazarza.

Oznaczając przybliżoną liczbę chorych, których w dotychczasowych naszych szpitalach pomieścić nie można, na 4.000 i biorąc średni pobyt chorego na kuracji przez trzy tygodnie, wypadnie, iż liczbę łóżek w naszych zakładach leczniczych należałoby powiększyć przynajmniej o trzysta. W jaki sposób, czyjemi funduszami, z czyjej inicjatywy?—Bóg raczy wiedzieć.

Dobrze przynajmniej, że jakoś od pewnego czasu przycichła groźna pogłoska o zamierzonym cofnięciu zasiłku rządowego szpitalom warszawskim.

Dla chorych i zdrowych umniejszono się temsamem nie mało kłopotu.

Co prawda, nie same smutne widoki przedstawiają się nam w wiosennej perspektywie; niebawem już smakosze znajdą na wystawie kucharskiej niewyczerpane źródło wrażeń gastronomicznych, a Towarzystwo Dobroczynności zyska nowy i pożądaný zasiłek, który zwiększy jeszcze znana mistrzyni sztuki kulinarnej p. Lucyna Cwierczakiewiczowa, zobowiązawszy się na rzeczowej wystawie sporządzać wzorowe flaki, ów ulubiony ongi przysmak polskiej kuchni, zakrapiany starym miodem, a dochód z tej potrawy, autorka „365 obiadów za 5 złp.“ przeznacza na rzecz ubogich.

Będziemy tedy mieli gastronomią uszlachetnioną przez filantropią, a że w Warszawie dobrze jeść lubią, nie pytając, w jakim celu jedzą, można tedy wystawie kucharskiej rokować pod względem materialnym świetne powodzenie.

Niemniej sukcesu przepowiadają już dzisiaj wielkiej wystawie rolniczo-przemysłowej, która rozrusza trochę Warszawę w Czerwcu i ożywi ją licznymi gośćmi z prowincyi. Spodziewany jest znaczny napływ obywatelstwa, a z nim i gotówki, przechodzącej coraz bardziej w krainę mytów.

Zdarzy się wprawdzie od czasu do czasu jakiś wybryk, świadczący, że w tych ciężkich czasach ludzie przecież nie nauczyli się jeszcze cenić wartości pieniędzy i wyrzucają je garściami, jak rodzice owej jakiejś hrabianki, która do wyprawy obstałowała podobno 12 jedwabnych gorsetów po 85 rs., ale to wypadki nader rzadkie i potrzebujące sprawdzenia. Przypuszczamy, że taka sznurówka ścisłałaby, jak kleszczami, pierś polskiej dziewczicy, któraby w dzisiejszych warunkach marnowała ojcowski grosz na takie zbytki.

Stoi dziś na porządku dziennym, obrabiana bardzo gorąco przez wszystkie najostrzejsze pióra i języki, kwestya konkursu na pomnik dla Mickiewicza.

Dnia 1-go Marca komitet sędziów w Krakowie rozdał nagrody trzem laureatom, przyznawszy 3.000 guldenów za projekt pod godłem „Świtez“ p. Dykasowi, 2.000, p. Celińskiemu za projekt pod godłem „Odrodzenie“ i p. Barączowi 1000 za szkic pomnika z napisem: „Wieszczowi naród.“

Wyrok ten krakowski jury nie zadowolil nikogo: przeciwnie, wywołał głośnie protesty i oburzenie, surowe krytyki i pogróżki ofiarodawców i ważniejszych kwestarzy, którzy zbierali fundusz na wystawienie pomnika.

Ważny i decydujący głos w tym chórze głosów przeciwnych orzeczeniu jury zabrał Matejko.

Najwięcej zarzutów ściągnął na siebie uwieczniony pierwszą nagrodą projekt młodego, początkującego rzeźbiarza p. Dykasa, który raz już pod godłem „Spłoszonej kraski“ takisam protest wywołał na pierwotnym konkursie.

Pomnik według jego pomysłu nie wychodzi poza granice pospolitej mierności. Krytyka przed wydaniem wyroku sędziów nazwała go „dzikim“ ze względu na pomieszczenie zdroju, niedość silnie symbolizującego się u piedestału poety. Nikt nie przypuszczał nawet, ażeby wśród trzydziestu jeden projektów ten właśnie, jeden z uboższych w duchu i skromniejszych w formie, mógł zasłużyć na pierwszą nagrodę.

O postawieniu takiego pomnika na cześć genialnego twórcy „Dziadów“ i Pana Tadeusza“,

nawet po dokonaniu zaleconych poprawek i przeróbek, wielu bardzo ludzi słyszeć nawet nie chce.

Gdyby ostatecznie niechęć ta stała się powszechną, rezultat konkursu praktycznego pożytku-by nie przyniósł; trzeba by o nim było powiedzieć, że rozdrażnił tylko opinią publiczną, wywołał swary, które niewiadomo na czym się skończą.

Istna jakaś fatalność zawisła nad owym niešťęsnym pomnikiem, który miał być dowodem naszej czci i wdzięczności dla największego z naszych poetów, a staje się tylko kamieniem obrazy i powodem zgorzienia publicznego i wewnętrznej rozterki naszej.

Protesty wyrastają teraz, jak grzyby po deszczu, ale do czego one doprowadzą? do obalenia wyroku, do wyboru nowej komisji, do powtórnego zarządzenia konkursu?... zawichrzyło się i rozogniło, jak utrzymują spokojniejsi, po niewczasie. Trzeba było protestować przeciw składowi areopagu, w którym zasiadało tylko dwóch specjalistów w sztuce—powiadają—prof. Zumbusch z Wiednia i dyr. Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, p. Guillaume; po usunięciu się Matejki z komitetu sztuka polska nie miała między sędziami żadnego przedstawiciela.

Któż wszelako mógł przypuszczać, że komitet, w którym zasiadało jedenastu ludzi światłych i wykształconych, zechce wydać taki wyrok bez nikogo prawie poza komitetem niepodzielany.

Bądźco bądź, komitet, kompetentny czy nie kompetentny, stronniczy czy bezstronny, działał według udzielonego sobie mandatu; można do wyroku jego się nie zastosować, o ile chodzi o postawienie pomnika podług nagrodzonego projektu p. Dykasa, który w tej sprawie Bogu ducha winien; ale za błąd komitetu zapłacić trzeba będzie i 3000 guldenów wydać z zebranych funduszy.

Rzeźbiarze nasi wystąpili z rzadką gorliwością i dobrą wolą, pośpieszyli prawie wszyscy na wezwanie, a ile któremu talentu i natchnienia starczyło, każdy starał się jaknajlepiej wywiązać ze swego zadania. To zasługuje na uznanie choćby nawet wyznać trzeba było, że nikt nawet z najzdolniejszych nie zdobył się na pomysł pomnika godny pamięci wielkiego wieszca naszego. Każdemu dałyby się postawić jakieś zarzuty, jeśli nie pod względem technicznego wykonania, które jest przeważnie staranne, to, co ważniejsza, pod względem duchowej strony kompozycji i charakteru pomnika.

Jakikolwiek będzie pożytek z tego konkursu, miał on tę dobrą stronę, że poruszył talenta, że ożywił naszą sztukę plastyczną w szlachetnej emulacji i wykazał, ile mamy sił pracujących na polu rzeźbiarstwa.

Pomiędzy wybranymi w ściślejszem gronie przyjdzie zapewne do nowego turnieju, ten i ów poprawi swój projekt, ujmie coś lub doda, zastosuje się do uwag krytyki i znawców: a wówczas naprawdę piękne i właściwe dzieło wyjdzie z polskiego dłuta i uczci, jak przystało, geniusz Mickiewicza.

Czas wielki zakończyć te wszystkie nieudane próby, przewlekłe starania, niesnaski i zabiegi, ubliżające powadze całego przedsięwzięcia; nigdy bowiem szlachetna myśl w swoim wykonaniu nie potykała się o tyle kamieni obrazy, nie błąkała się po tyłu manowcach, co u nas sprawa postawienia pomnika największemu z naszych poetów.

W dziedzinie sztuki naszej mamy do zanotowania fakt zajmujący dziś żywo uwagę ogólną. Muzyka polska pozyskała poważne i piękne dzieło, dzięki Wł. Żeleńskiemu, który przed dwoma tygodniami wystawił we Lwowie swoją czteroaktową operę p. t. „Konrad Wallenrod.“

Od czasów Moniuszki żadne dzieło nie wzbudziło tyle zajęcia, nie poruszyło tak melomanów, jak ów utwór jednego z najzdolniejszych dziś kompozytorów polskich.

Żeleński swą operę pisał w duchu i pojęciu nowoczesnem, starał się o wytworzenie „muzycznego dramatu“, korzystał ze wszystkich zdobyczy naukowych harmonii i kontrpunktu—i zachwycił znawców.

Publiczność lwowska i krytyka z wielkimi owacyami przyjęły to dzieło, które zapewne usłyszemy także i na scenie warszawskiej; a wówczas

inne pióro szczegółowiej i z większem znawstwem rozbierze jego zalety.

Wspominamy tylko z uznaniem o nowym utworze polskiego kompozytora, przyczyniającym się do usświetnienia naszej rodzimej sztuki, która na każdym polu daje dowody swej żywotności i chlubnie zaznacza swój piękny rozwój w każdym kierunku.

Żebyśmy tylko mogli stwierdzać go takimismami postępami i objawami w innych dziedzinach naszego społecznego i ekonomicznego żywota!

Niestety, daleko nam do takiego przekonania, a czy kiedy losy pozwolą dojść do niego—kto przewidzieć potrafi?..

SŁOWIK

Naśladowanie żmujdzkiej piosenki.

O tu maua strasdeli!
Tu rajbais paukszteli!

„Mój ty luby słowiczku!
Szary miły ptaszeczku!
Czemu w gęstej kryjesz się zieleni?
Czy cię hušta leszczyna?
Czy cię wabi malina,
Nim jej lica słońce zarumieni?“

Mnie nie nęci zaciszę,
Co tak miękko kołyszę.
Ni kwiat skromny słodziutkiej jagody:
Szukam drzewa lub skały,
By się ze mną w pieśń złąły,
Sławiąc piękno bogini mej młodej.

Tutaj słońca blask złoty
Rozsiał wiosny klejnoty,
Ziemię stroi nadziei barwami;
Przyjście młodej królowej
Do świątyni godowej
Pastuszkowie ogłoszą trąbami.

Stado wita ją rzeniem,
Listek szeptem, ja pieniem,—
Zachwyt, podziw głosimy radośnie;
Łza, co rosi jej oko,
Wsiąknie w ziemię głęboko,
I cudowny z niej kwiatek wyrośnie.

Gdy z łez oschła żrenica,
Uśmiech wrócił na lica
I ozłocił mój skromny strój szary—
„Spiesz się—wołam—człowiecze,
Zanim wiosna uciecze,
Śpiesz się posiąść hojności jej dary.“

Chociaż śpiewam w dolinie,
Głos mój niechaj wdał płynie
I do pracy zachęci rolnika;
Siędę sobie na drzewie
I zwiastuję wam w śpiewie,
Że nadzieja me serce przenika.

Żwawo, żwawo do pług!
Zima była tak długa,
Że się wołki do pracy stęskniły,
Orz i bronuj swą rolę,
Aby żyzne twe pole
Fale kłosów w jesieni złociły.

Siej pszenicę i żyto!
Zbierzesz miarkę obfitą;
Posiej owsa, ziemniaków, jęczmienia;

Posiej także potrochu
Gryki, konopi, grochu
I niewiele lnianego siemienia.

Gdy pot z czoła ci spłynie,
A ja śpiewam w gęstwinie,
Hymnem wzniosłym brzmi ziemia ta cała;
Wszystkie głosy natury
Płyną z pieśnią do góry:
„Stwórcy świata niech będzie cześć, chwała“.

Lajka Tarenti.

GENERAL GORDON

(Korrespondencja jego z siostrą).

(Dalszy ciąg).

Urzędowym zadaniem Gordona było: rozgromić rozbójnicze bandy handlarzy niewolników, wzmóc produkcją krajową i ułatwić godziwą wymianę naturalnych płodów bogatej w nie krainy murzyńskiej na towar wyżej w cywilizacji posuniętych narodów i dlatego otworzyć kraj aż do jezior podzwrotnikowych, zapomocą drogi Nila i całego szeregu faktori, obwarowanych i zasłoniętych przez władze krajowe. Gordon już w Kairze został zrażonym przez wiele rzeczy; musiał przystać na pompę „wielkorządcy Równika“, a niemal miesiąc płynąć wodą i podróżując łodem na miejsce swego przeznaczenia, spotyka się na pierwszym wstępie, bo w stolicy swej Gondokoro, z załogą wojska, którem ma dowodzić, praktykującą stale rozboje i żyjącą z łupów. Ale to nic: on chce zrobić ze zbójów stróżów bezpieczeństwa, sporządza sobie sam lekarstwo, aby wytrzymać zabójczy klimat, bada bieg Nilu, aż do Wiktorya-Nyanza, organizuje wskroś przez pustynię linię pocztową, która funkcjonuje regularnie, uspakaja wojujące ze sobą pokolenia Beduinów, rozpościera wszelkie możliwe dobrodziejstwa na biedne ludy murzyńskie, ma dla nich tę samą czułość, co dla małych dzieci. Chce usunąć wszędzie cierpienia, zasiać wszędzie ziarno miłości bliźniego; niemniej, a raczej dlatego, wydaje bój handlarzom ludzkiego ciała i tu jest surowym, aż srogim.

Osmnaście miesięcy walczył mężnie, zacięcie, wytrwale, ale nie mógł zwalczyć wszystkiego. Gdy przecież Izmael-Basza rozszerzył jego władzę na cały Sudan, gdy stolica jego przenosi się do Khartumu, Gordon staje się znowu cudownym wojownikiem czasów dawnych; przelatuje przestrzenie, jest wszędzie, spada na stada drapieżców, jak orzeł, spuszczaający się z obłoków i przykładą ostrze siekiery do korzenia drzewa; ale tu dopiero zaczyna się prawdziwe niebezpieczeństwo—gorsze niż zabójczy klimat i takie trudy nadludzkie, jak zrobienie w przeciągu jednego roku 3.500 mil (angielskich), przez pustynie na grzbiecie wielbłąda. Dawni panowie kraju, handlarze niewolników, czują się rozwścieczeni, oni, którzy dotąd panowali tu bezspornie. Była to szajka łowców ludzi, zorganizowana i szeroko sieć swą rozciągająca. Sudan jeżył się od ich posterunków, które, ciągnąc się wzdłuż Nilu, były warowniejsze, lepiej uzbrojone, i zasobniejsze od rządowych, a wódz król tego krwiożerczego motłochu, Zebehr Basza, miał swoją przyboczną gwardyę, pułk wyćwiczony i karny, złożony z młodych, silnych murzynów, porwanych dziećmi i wytresowanych jak młode psy, a raczej jak młode lwiąta, aby się rzucały na własnych braci i kuli ich w dyby niewoli, tak pędzili na miejsce okrutnego przeznaczenia. Organizacja łowców ludzi miała swoją flotyllę, Nil niósł spokojnie parowie pełne nieszczęśliwych istot, skrapowanych i natłoczonych jak bydło; jak na bydło odprawiały się tu prawdziwe i bynajmniej nie tajne jarmarki. Wszysej drobniejsi kupcy i łowcy Murzy-

nów kierowali się ze swoim czarnym towarem ku Bahr-el-Ghazel, stada nieszczęśliwe zbierały się tam terminowo i wytwarzały się naraz najregularniejszy jarmark wkoło „zeryby“ to jest warowni Zebehra, siedziby wspaniałej, która przez swoje fortyfikacje, wały i palisady, przez swoje dziedzińce, z muzykantami i grupami derwiszy, przez swój harem i meczet, wyglądała raczej na rezydencją afrykańskiego sultana, niż na faktorię kupca. Gdy Gordon nie tylko nie dał się znużyć, ale przeciwnie począł rozwijać działalność coraz dokuczliwszą, gdy coraz głębiej docierał do jądra rzeczy, podniesiono niemal chorągiew buntu. Zebehr-Bahama wysłał już raz poprzednio wojsko przeciw oddziałowi egipskiemu, który otoczono i w pień wycięto, a napastnik siał potem do Kairu tłumaczenie się z omyłki, prawie ironiczne. Potem zażądał bezczelnie rangi beya, potem zaczął zabiegać koło pozyskania baszowstwa, omal, że nie postawił kandydatury swej na generalnego rządę, wice-króla Sudanu.

Ale zgubiło go zuchwalstwo. Wziąwszy ze sobą dwa, czy trzy miliony piastrow dla pozyskania sobie przyjaciół w otoczeniu Izmaela, wyruszył do Kairu, aby przecież nie powrócić ztamtąd więcej. Kedyw przeczował już w nim przyszłego Mohamed-Ahmeda, buntownika, chcącego oderwać Sudan od Egiptu i uwięził Zebehra. Wprawdzie na mieszkanie dano mu pałac, jakgdyby handlarz niewolników był księciem, ale niemniej więzieniem jest zamknięciem i odcięciem od świata. Żądając od Gordona ukrócenia handlu Murzynami, Kediw miał na celu więcej politykę niż, to co wzruszało pierś Gordona, ale wojownik chrześcijański, szedł prosto do swego celu. Gdy pod coraz silniejszym parciem z jego strony, wybuchnął nakoniec jawny bunt, mający na czele syna Zebehra, Solimana. Gordon i jego, porucznik Włoch Gessi, uderzyli walecznie na buntowników i zgnietli ich.

Soliman został stracony; stracono: powieszono lub ścięto więcej niż stu pięćdziesięciu handlarzy niewolników!

Uczynił to ten łagodny człowiek, który idąc omijał mrówki, aby przypadkiem nie zgnieść której, tensam który w Chinach po wygranej bitwie i wzięciu miasta, lękając się, aby jego wojsko, rozgrane zwycięstwem, nie porwało się nagle na rabunek, nakazał mu natychmiastowy wymarsz do odległego obozu i pozostał prawie sam jeden wobec przejętej nienawiścią ludności i mając jedynie przy boku swoim bardzo podejrzanych sprzymierzeńców chińskich. Ale teraz był on jako ten lew Pański, który rycząc szedł na pożarcie fałszywego proroka.

Gordon uczył się jednak wkrótce zmęczony, cierpiał i pisał do siostry, że mu się zdaje „jakoby jego serce i boki zmieniły sobie miejsce w ciele“, i zakończył list skargą: — „Jakkolwiek wolę tu żyć, niż gdziekolwiek indziej na świecie, pragnąłbym raczej umrzeć, niż być tu“.

Tak czuł, bo pojmował rzady swoje w Sudanie jako misyję. Nie ambicya, nie myśl karyery, ani sławy, ani żaden wzgląd ziemski popychał go w te rozpalone ziemie Afryki, ale miłość cierpiących istot ludzkich i wiara w to, że Bóg czyni z niego narzędzie swoje, że go tam do nich posyła. W drodze do miejsca swego przeznaczenia (d. 26 Lutego 1874 r.) tak pisze o sobie do siostry w tej, z wywnętrzeniem się najgłębszem, spowiedzi jego duszy, za jaką można uważać te pisywane przez niego do niej listy: „Czem ty jesteś abyś się lękał człowieka“? Na kilka dni pierwej, jeszcze w Kairze, ozwał się wśród licznych zgromadzenia: „Nie ma na świecie nikogo, któryby mógł wyrządzić mi złe, mając wagę jakąś“.

W dalszym ciągu listu do siostry, opisując swoje trudności w łamaniu się z koteryją egipskich urzędników, zakończył: „Jeżeli taką jest wola Boga, strząsnę precz to wszystko. W jaki sposób, nie jest to jeszcze jasnym dla mego wzroku. Jestem jako Mojżesz, gdy gardził skarbami Egiptu. Mam potężniejszego niż oni tu Króla, posiadam w Nim bogactwa i władzę trwalszą.“

Mimo tej wiary w Boga i celowość wszystkiego w dziejach świata, tkliwe serce tego człowieka wzruszało się widokiem nędzy ludzkiej, z którą się tu spotykał. Patrząc na cierpienie biednego murzyńskiego ludu, woła: — „Dlaczego zostali

stworzeni? Co to za tajemnica? Nieprawdaż?“ Ta litość dla biednych krajowców, dla wszystkich co cierpi, nie była u niego uczuciem przechodniem. W całej jego korespondencji z siostrą, którą utrzymywał niezmiernie regularnie, w krótkich zwykle, ale co kilka dni pisywanych, listach, odzywa się to ciągle. I egipskie jego wojsko jest również przedmiotem jego starań troskliwych; po dwóch latach pobytu w Sudanie pisze: „Moim stałem pragnieniem jest, aby byli o tyle szczęśliwi, o ile to jest w mocy mojej, i chociaż czuję, że jestem dla nich czasem niesprawiedliwy, nie jest to u mnie rzeczą zwyczajną. Troskam się o nich w czasie pochodów, zajmują mnie ich potrzeby, otaczam opieką moją ich żony i dzieci, gdy złe się z niemi obchodzą“.

„Ale nie ja to czynię“—pisze dalej:—„Jestem pilą, która rżnie drzewo, ale cieśla kieruje nią. Jeżeli ostrze moje się stępi, to On je naostrza. Jeżeli mnie odłoży na stronę, weźmie sobie narzędzie inne, niech się tak stanie wedle woli Jego: dokona On dzieła swego równie dobrze za pomocą jednej słomki. Czuję, że mam być chępliwym w niektórych mych listach i zwierciadło moje—sumienie—wyrzucało mi to zaraz“.

„Są listy pisane przez jedną moją naturę, są listy pisane przez drugą, i będzie tak aż do końca“, dodaje, ale dlatego, kto je czytał uważnie, dwoistość ta nie istnieje. Jest to najpierw natura bardzo gorąca i poetyczna: gorącym więc i aż mistycyzmu dochodzącym jest w swojej religijności, gorącym w miłości swojej dobra i prawdy, w miłości ludzi, i dlatego czasem objawia się w nim tklivość, czułość, łagodność i miłosierdzie bez granic, czasem zrywa się namiętnie do walki ze złem i tępi je. Tępi, ale nie karze, i jest to różnica ważna, którą widać w całej działalności wielkorządcy Sudanu.

Tosamo dzieje się z nim i w sądach jego, w obrządkach, które kreśli siostrze o nieznanem dla niej świecie i ludziach, dla których, gdy są źli lub nicy, ma groźne i gniewne brwi zmarszczone i oto ten idealista najczystszej wody nie okazuje się jednak optymistą, gdy pisze: „Im dłużej się żyje, tem więcej uderza nas chciwość ludzka na pieniądze. Bardzo ciekawem jest ich pojęcie kradzieży: gardzą człowiekiem, który kradnie poprostu, ale popełniają bez żadnego wyrzutu sumienia rzeczy, wychodzące najzupełniej na tosam. Zdaje mi się, że dopiero przeżywszy lat czterdzieści, widzi się to jasno. Co do mnie, sądzę, że każdy z nas jest mniej więcej łotrem i oszustem i gdy przyjdzie chwila przeważania, mała będzie różnica w wadze. A przecież jak jesteśmy pełni wielkich frazesów i jak pochopni w sądach! Murzyni są też tacy sami w swej miłości grosza“.

„Nie kruszy się kopii przeciw kodexowi honoru, ale mało znaczy, gdy się postępuje przeciw prawu Bożemu i jakże depreczemy je wciąż nogami przez postępowanie nasze!“

I dalej wybucha z zapałem: „Dla mnie niema już nic drogiego wśród świata. Jego zaszczyty? jest to próżność!... Jego cacka? nietrwale są i nieużyteczne! Dopóki będę żył, będę cenil tylko błogosławieństwo boskie i zdrowie. To posiadając jest się szczęśliwym na ziemi. Zapytasz mnie dlaczego ja tu jestem? Dałem się zwolna unieść po pochyłości myśli moich. Miałem charakter zbyt niepodległy, aby służyć na Malcie, lub gdzie indziej, i może czułem w sobie coś, przez co, jeżeli Bóg pozwoli, zdołam czynić dobrze dla tej krainy, bom dostał od Niego (od Boga) energią, zdrowie i dosyć zdrowego sensu.“

Jest w tem liście wzruszające wspomnienie o czynie jego szlachetnej a cichej dobroczynności. Gdy w Anglii, w Lancashire, bezrobocie w fabrykach przerabiających bawełnę, sprowadziło wielki głód między robotnikami, Gordon, wtedy pułkownik już—już „Gordon Chiński“ nie miał pieniędzy, aby wspomóc tę nędzę, i wyskrobawszy napis posłał z listem bezimiennym wielki medal złoty, który cesarzowa chińska kazała wybić na cześć jego. Pisząc o chciwości ludzkiej, o ludzkiej miłości dostatku, mienia, przypomina to sobie i rzuca pobieżnie słów kilka, jak przez słodkie uczucie był nagrodzony, gdy mógł tego złota tak użyć.

Zdołał być takim? ten człowiek, bo sam dla siebie potrzebował bardzo mało. Kiedy służący jego, Europejczyk, „służący doskonale” porzucił go, nie mogąc znieść warunków miejscowych, on pisze siostrze: „Tem lepiej; najlepszym służącym, jakiego miałem kiedykolwiek byłem ja sam; ten słuchał mnie zawsze.”

Nigdy nie troszczył się zbyt o siebie; nie pieścił się, nie dogadzał sobie; zdrowie, cenil jak wiemy, ale tylko jako środek ułatwiający mu działalność. Gniewało go też wszelki objaw sybarytyzmu; żądał od ludzi, aby umieli porównywać swój los z losem innych, aby ich egoizm milkł wobec nędzy i cierpienia ludzkości. „—Szkardną jest ta musztarda!” oto wykrzyk, który kilka dni temu słyzałem wśród mego sztabu, w chwili właśnie, gdy jeden z naszych braci (tak nazywał krajowców) przechodził mimo, i gdy można było porachować wszystkie kości w jego biednym, wychudłym ciele — pisał do siostry w parę miesięcy po swoim przybyciu do Sudanu.

Zatem miał już czas widzieć dość nędzy biednego ludu i sam zaznać dość trudów i braków. „Twój brat — pisze do siostry w bardzo niedługim odstępie czasu od tamtego listu — miewa się dobrze, ale wyszedł na cienia, tak jest chudy”. Nic to przecież u niego nie znaczy, byle znajdował inne źródła zadowolenia i dobrobytu. Opisujać przykry klimat Sudanu, opisujać jak Arabowie, którzy stanowią tu wojsko egipskie, nie mogą go znieść, nie mogą wytrzymać jednostajności życia, które nie może tu mieć żadnych uciech i przyjemności, pisze: — „Co do mnie, wolę to, niż w Anglii jadać obiady w mieście.”

I dalej: „Przekładam życie wpośród boleści, jeżeli te boleści są nieuniknione, nad istnienie bezczynne. Gdziekolwiek się znajdować będziesz w którą bądź stronę się zwrócisz, wszędzie widzieć musisz smutki i niepokój.” Dla niego życie nie ograniczało się do własnego losu, do własnych bytu warunków i łączność jego przez serce z otaczającymi go ludźmi, (a nie zamykał się tylko w swojej klasie oświeconej i zamkniętej), stykała go zawsze i wszędzie z cierpieniem, z biedą ludzką, wszędzie spotykała i dla tej natury, żyjącej więcej przez ideały i pojęcia, więcej w świecie oderwanym, niż w rzeczywistości, branej na własny rachunek, miejsce pobytu stanowiło tylko taką a nie inną scenę dla spełnianego obowiązku: i ztąd ta jego wytrzymałość w okolicznościach, które odstraszały innych, to związane się zaraz przez węzły miłości z otoczeniem swoim. A jednak miał on w sercu uczucia ludzi zwykłych, miał miłość rodzinnego kąta, tęsknotę do ojczyzny, do swoich: — „Widzę tu wróble angielskie i jaką mi to rozkosz sprawiał, pisze raz z Khartumu.”

Natura nie jest mu obojętną: kreśli często jej obrazy, których piękność odczuwa, jak poeta. Opisuje siostrze wybrzeża Nilu w czasie swej pierwszej w głąb kraju podróży, zwierzęta i ptaki widziane na tle tej panoramy, bociany, pelikany, żurawie, ogromnego ptaka z wielkim dziobem, który spokojnie i poważnie jak strażnik tych miejsc trzyma się na jednej nodze. Bawiły go małpy, przychodzące pić wodę nilową, przyglądał się hipopotamom ukazującym się wśród trzcin, a na wodzie podobnym do wysp spacerujących, drzewom gumowym i dalej tamaryndom. Raz w nocy płynąc Nilem z wolna, i przy świetle księżyca myślał o domu, kraju, o swoim afrykańskim życiu, widzianem dopiero w perspektywie przyszłości gdy nagle dał się słyszeć wybuch głośnego śmiechu, wychodzący z nadbrzeżnego krzaka: — „Uczułem się obrażonym, pisze — ale odkrył wkrótce, że to ptaki ukryte w zaroślach żartowały z nas sobie w bardzo złośliwy sposób. Jest to pewien rodzaj bocianów; zdawały się być w bardzo dobrym humorze i bardzo je bawiła myśl, że jest ktoś płynący w górę Nilu aż do Gondokoro z nadzieją szczęśliwego powodzenia. Krokodyle leżały na nadbrzeżnych skałach, ukazując swe wielkie, szerokiemi zębami uzbrojone paszcze.”

Podobały mu bardzo małe ptaszki „najpiękniejsze na świecie”, które raz już w Lipcu, to jest w szóstym miesiącu swego przebywania w Afryce, zobaczył rano koło swego namiotu:

zółte jak kanarki z wierzchami zielonemi i czarnemi obrózkami koło szyjek, albo niebieskie albo różowe, z grzbietami także zielonemi.”

Zajmowały go bardzo papyruse, piękne kiciaste trzciny, które tworzą na Nilu ogromne pływające wyspy, rosnące wśród zwiłkanej i splecionej silnie ze sobą rośliny wodnej, zwanej Sudd. Dawniej papyruse rozpościerały swoją roślinność aż do samego Kairu, dziś nie przechodzą po za Khartum. Dlaczego cofnęły się tak ku południowi? nie wiedział.

Nad Bahr-el-Abiadem podziwiał przepyszną tamaryndę wznoszącą się jak słup wskazujący kierunek wśród przestworów bagnistych. Jakiś X. którego Gordon spotykał, i bynajmniej nie polubił w Kairze, ściał je na opał dla swego parowego statku. Musiano ścinać je dwa dni, zanim runęło — „odwieczne, majestatyczne drzewo olbrzym.” „Czy pamiętasz, jak ojciec nasz nie cierpiał, gdy ścinano drzewo?” — dodaje Gordon, wzruszając czytelnika tą uwagą swoją, która wskazuje w tym oryginalnym, śmiałym człowieku, w tym „narzędziu Boga” w tym cywilizatorze Pustyni Afrykańskich, czującą, do pamiętek młodości swojej zwracającą się istotę.

„Leż-to razy widok tego ścietego dziś słupa zieloności, musiał radować oczy ludzi błakających się wśród tych bagnistych płaszczyn” — dodaje i pisze, że istnieje w tamtych okolicach jeszcze jedno takie drzewo starożytne, palma wznosząca się w Deliah piramidą, podobnie samotną.

Były to opisy okolic widzianych w czasie żeglugi Nilem, ale krajobrazy pustyni uderzają inaczej jeszcze poetę marzyciela, i pisze: „Samotna wielkość pustyni każe mi uczuć próżność wysiłków człowieka. To mnie podtrzymuje wśród doświadczeń, które przechodzę i pozwala mi patrzeć na śmierć, jak na odetchnienie, gdy przyjdzie na mnie, zesłana z woli Boga.”

(Dokończenie nastąpi).

POŻYWIEŃ DUCHA

W MIEŚCIE OBLEŻONEM.

W zbiorowym wydaniu dzieł Ernesta Legouvé, członka Akademii Francuskiej, autora *Historji kobiety* i wybornego dzieła: *Ojcowie i dzieci XIX wieku*, znajduje się tomik odczytów, „konferencyi” jak to się zowie we Francji, a z których jedna została wygłoszona w 1870 roku, w Paryżu obleżonym, więc nie w Paryżu, który bawi się i błyszczy, daje światu prawa mody i elegancji, ale w Paryżu cierpiącym i nieszczęśliwym, w biednym, pokutującym Paryżu, który musi zbierać wszystkie swe siły możliwe, aby nie wpaść w rozpacz i zwątpienie, nie abdykować z godności i obowiązku — nie umrzeć śmiercią ducha. Nadzieja jest najsilniej podtrzymującym go żywieniem, lecz niestety! nadziei właśnie zaczynało brakować obleżonemu miastu. Była ona słabą, niepewną, daleką i w tej to chwili ciężkiej Legouvé podnosi głos i chce dać współbraciom swoim posiłek, mogący zastąpić nawet nadzieję: uczyż kąd go wziąć i z jakich żywiołów uczucia złożyć.

— Ducha trzeba tak karmić, jak ciało — mówi — a słowa te jego, jakkolwiek okolicznościowe, mają w sobie dość mądrości ogólnego znaczenia, aby je przyswoił, jako naukę dobrą, każdy człowiek smutny i nieszczęśliwy, wystawiony na ciężkie próby przygniatającej go niedoli.

Pokarm duszy krzepi i ciało, energia moralna jest kordylem, który w biedzie i niedostatku upadać nie daje jednostkom i narodom. Najlichsza strawa spożyta z mężnym sercem, starczyć może za biesiadę. Kto ma tylko kawałek suchego chleba, niech doda do niego coś odwagi, a posili się dobrze. Ewangeliczne mnożenie chleba jest cudem, który spełniać się może nietylko za dotknięciem ręki Boga. Moc ta dana została każdemu takiemu człowiekowi, który nosi w głębi swojej podniosłe uczucie godności osobistej, mi-

łość społeczności swojej i wiarę w swój ideał. Ten człowiek może także z trzech chlebów czynić tyśiące chlebów; z pięciu rybek pięć tysięcy i czy nazywać on się będzie Lincoln, czy Juliusz Favre, nakarmi tłum zbiegający się do niego kilku słowami, które weźmie sobie z głębi ducha, bo w tych słowach daje rzeszom głodnym ducha swego i posili nim wszystkich — lud cały i, jak podaje Ewangelia, wszyscy odejdą od niego nakarmieni.

Nie każe dalej Legouvé mieć względem ludzi podejrzliwie niskiego sądu. Niewiara w innych uderza nas, podkopuje nam spokój potrzebny i nieraz prowadzi do zwątpienia. Brak wiary w ludzi prowadzi nieraz do niewiary w samych siebie, udęczeniu słabościami, upadkami innych, zacyznaniami patrzeć w głąb własną trwożliwie, a to już jest początkiem osuwania się moralnego. Ufnosć daje poczucie siły; kto wątpi nie ma jej, bo sam się z niej wyzuwa. Nie trzeba łatwo rzucać kamieniem, wyszukiwać win i odstępstw; ilekroć w ubleżonym Paryżu odkryto niby agenta pruskiego, padała na lud panika, odbierająca odwagę. Przecież trzeba być czujnym, ale przede wszystkim względem siebie: siebie pilnować, sobie nie pozwalać na ustępstwa, choćby nieznaczne na oko, bo to grunt ślizki i wiodący z góry na dół. Niemniej źle jest rozpieszczać się; rzecz to szkodliwa dla zdrowia ducha, bo go pomału rozhartowywa, a przytem pragnienie unikania trudów często męczy więcej, niż same te trudy, podjęte śmiało i odważnie — stanowczo. Stanowczość to wielka pomoc, wielka dźwignia w nieszczęściu, i jako przykład przytacza mówca znajomego sobie starożytnego wiarusa, jeszcze z armii Napoleona I-o. Odbił wszystkie nieszczęśliwie dla Francji kampanie, był pod Moskwą, pod Lipskiem, zdeptał nogami swemi grunt całej Europy i nie podł po drodze, wrócił szczęśliwie do domu, a tajemnicą jego siły było stanowcze decydowanie się na to, co podźwignąć musiał. Po mrozach, największą klęską nieszczęśliwego odwrotu Wielkiej Armii były głęboko rozmiękłe drogi Polski i Niemiec; żołnierz musiał dzień za dniem iść, iść bez końca tem błotem ciężkiem, w którym lgnęły mu nogi i jakitaki starał się je omijać, schodził na boki, pragnął się trzymać podniesionego gruntu, ale ów kapitan, znajomy Legouvé'mu, czynił inaczej. Wiedział, że nic nie poradzą te usiłowania, ulgi drobniogowe i szedł zawsze środkiem drogi: prosto — wciąż proste przed siebie, choć błoto zdawało się być tam najgłębsze. Może i tak było, ale nie nużył się ciągłą walką z rzeczą nieprzewalczoną, ze zniechęceniem, jakie to niosło za sobą, i wytrzymał dlatego właśnie. Powiedziawszy raz sobie: musisz!... nie wahał się już, nie dręczył; stanowczość i odwaga wiodły go lepiej, niż połowicznie korzyści.

— Środkiem! środkiem drogi! wołał Legouvé do Paryżan. — Trzeba ją przebrnąć, gdy przeskończyć nie można i to jest najlepszy środek w chwilach trudnych: sformułować sobie odrazu położenie i nie męczyć się ucieraniem z losem. Jest, co jest, gdy być nie może inaczej....

Ale — dodaje natychmiast — mężnie pojęta zgoda na przeznaczoną nam próbę, nie jest to wcale rezygnacja, która każe głowę schylić i przystać na los, jaki nam się dostanie. Rezygnacja jest to bardzo szlachetna cnota chrześcijańska, ale tam gdzie niema innego środka działania i oddziaływania na los swój. Wtedy to jest obok cnoty rozum i rozumny trzeba nazwać chorego gdy, nie miotając się daremno, spokojnie w łóżku leży; biorąc przepisane mu lekarstwa, oczekuje z poddaniem się konieczności na powrót zdrowia. Równie dobrą i rozumną jest rezygnacja człowieka nie bogatego, który musi choćby najciężej pracować na wyżywienie siebie i drogich sobie osób, ale lenistwem jest i nędzną ducha apatją, gdy ktoś nie wyciągnie ręki po skarb pożądany. Byłoby to rezygnacją spać wygodnie w dzień upalny, skoro inni trudzą się mozolnie, znąc na łanie odkrytym swój zagon zboża, a przecież wiemy wszyscy, że tak nie jest, że tego tak nazwać nie można. Kiedy na wałach Paryża rozstawione placówki stały prosto pod wiatr mroźny, siekający im twarz, z oczyma zwróconymi w stronę, w którą patrzeć im kazano, zali wróg nie podsuwa się pod szanice obronne — to była rezygnacja

z działalnością złączona. Zrezygnowali się tylko na cierpienie, ale nie na poddanie się losowi. Rezygnacja, to nie abnegacja bynajmniej i cały świat różnicy znajduje się między temi dwoma stanami ducha. Abnegat się wyrzeka; zrezygowany jest spokojnym, tylko w zapasach z losem: kiedy nie działa, trzyma się w pogotowiu do działania.

Paryż obleżony jest zrezygowanym, lecz nie abnegatem: poddanie się byłoby dopiero abnegacją.

Rezygnacja oparta na abnegacji jest to chleb pośledniego gatunku: żywi nędznie i nie broni od anemii, która podkopuje życie.

Jeżeli odwaga w nieszczęściu jest cnotą, wysoka, która, gdy jest oparta na uczuciu obowiązku, może mężnie zastąpić nawet wymykającą się nadzieję, — to trwożyć nietylko innych, ale i samego siebie, jest to szacowny pokarm duchowi swojemu i duchom bratnim odkradać, i grzeszy kto tak czyni. Miejmy odwagę i dodawajmy jej innym, a jest ona jako źródło w głębi naszej odkopane: przybywa jej w miarę, jak z niej czerpiemy. Któż z nas nie pamięta, jak działać może rozpuszczona wieść o klęsce? Prawdziwa czy fałszywa staje się popłochem i roznosi złe nowiny, jest złą usługą w mieście obleżonym, w położeniu bez wyjścia. Jesteś spokojny, usiłujesz zachowywać w sobie wiarę w przyszłość, zdobywasz się na trochę choć nadziei, gdy oto wchodzi postać pośepna. — Złe idzie... mówię ci smutny pessimista i twój promyk jasnego słońca gaśnie nagle, kir żaloby pada ci na serce ściśnięte, choćbyś usiłował bronić się najwaleczniej i człowiek który mi odbiera w ten sposób odwagę, jest jak truciciel, któryby mi dolewał do szklanki zabójczego jadu. Zatrzuwa mi ducha niewiarą i skazuje mnie na ciężkie męczarnie zwątpienia. Wszystko, co przez to przecierpię, wszystko, co opuszczę przy bolesnem ręk załamaniu, spada na jego duszę i czyni go winnym za winy moje.

A jakże często w chwilach najcięższego smutku i upadku serca pomoc bratnia ratuje nas i nagle podtrzymuje waleczność naszego ducha! Czasem starczy na to jednego spojrzenia oczu, z których błysnie ku nam ogrzewający płomień zapalu, i wiary przejmującej też i nasze serce. Legouvé przytoczył tu znowu przykład kogoś ze znajomych swoich. Był to ojciec dorosłego już syna, który służył w Gwardyi Ruchomej i odbywał nocną wartę na wałach; ojciec ten, którego serce było stroskane niepokojem o delikatne zdrowie młodzieńca, poszedł raz o zapadłej już nocy zobaczyć się z nim; zastał go zziębniętego, zmęczonego, wyczerpnętego z sił i serce ojcowskie boleśnie się zakrwawiło. — Na co te ofiary daremnie! wykrzyknął w sobie z rozpaczą — szamotanie się w próżni... Szedł do domu ze spuszczoną głową, pełen gorzkiego smutku, gdy, przebywając ulicę S-go Doonizyusza, przypadkiem zwrócił oczy na skrzyżowaniu pod wiatrem sztyl korzennego sklepu i wyczytał na nim: „Espérandieu!“

Było to poprostu nazwisko kupca, ale w duszy biednego człowieka, coś drgnęło. — Espere en Dieu! zawołał z głębi serca i podniósł wzrok ku niebu, na którego błękitnie świeciły jasno gwiazdy. Wpatrzył się w nie i uczył nagle ulgę, pociechę mimowolną. Jest więc w nieszczęściu jeszcze jeden ratunek, który duchy nasze posila i ożywia — jest wiara w Boga, jest nadzieja pokrzepiająca, jeżeli tylko sprawa nasza uczciwą jest, i sprawiedliwość może być po naszej stronie. Przypominamy sobie wszystkie nagłe i niespodziewane przewroty w dziejach ludzkości, i ufność w Boga przychodzi ulżyć nam ciężaru przyniatającego barki.

Wiarę krzepić jest czynem miłości bratniej; gdzie jest wiara, jest nadzieja i niema rozpacz. Wiara w Boga oddziaływa przeciw przemocy losów okrutnych i wszystko też, co człowiek z tą wiarą w sercu czyni w walce z nieszczęściem, pochodzi od Boga i jest pomocą Ducha Boskiego daną duchowi ludzkiemu.

Legouvé bynajmniej nie utrzymuje, aby Opatrzność wywierała na sprawy ludzkie, na pochod dziejów, akcją rządzącego niemi działacza. Nie, a nawet zastrzega się przedtem, ale to, co w pierś człowieka jest pierwiastkiem duchowym, z Boga wziętem, to przez Boga zbawia ludzkość ode

złego i każdy człowiek, każda społeczność powinna w bolesnych chwilach przejść okrutnych tak Boga na pomoc swoją przyzywać i działać w imię Boskie. Nieszczęście wtedy tylko nie zgniecie. Ufność w tę moc posiadaną, a z Boga idącą i łączącą nas z Bogiem, daje siłę, która przeciwności zwalcza. Jest to stan łaski, powie prawowierny; jest to stan udoskonalenia duchowego, doda filozof, ale obaj zgodzą się na rezultat ostatni. Moralna doskonałość musi dawać szczęście, bo uczy szczęście sobie zdobywać, zarabiać na szczęście.

I na to właśnie mogą być przydatne klęski dotykające ludzkość: odradzają zmaterializowane organizmy ludzi, czy narodów. Bismark, jak Legouvé przytacza, powiedział, patrząc na Paryż obleżony: „Niech Paryżanie podgotują się trochę w sosie własnym“ i mówca francuzki nie odrzuca tej teutońskiej rady, tylko wyklada ją słuchaczom swoim przez przykład. Korynt obleżony uległ pożarowi, który zniszczył świątynie i domy — wszystko, a był tak strasznym, że stopił w swym ogniu kruszce wszelkie i zamałgował je ze sobą, z czego cudownie się wytworzył szlachetny metal — twardy, piękny, nad złoto cenniejszy, bronz koryncki, i takiego to działania pragnie Legouvé dla obleżonego Paryża. Niech cnoty i bogactwa wszystkich klas paryżkiego ludu tak się wygotują, przetopią w ogniu cierpienia i zespolone razem wydadzą materyał nowej piękności, spójności i siły.

Wywieść z nieszczęścia pierwiastek odradzającego udoskonalenia: to rzeczywiście dać duszom nieszczęśliwych ludzi posiłek pokrzepiający.

Marya Ilnicka.

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Panie Radzco — rzekł, zasiadłszy w krześle — boleję nad tem, że obowiązki względem rodziny zmuszają mnie do postępowania, które ludzie obojętni, zdala stojący, fałszywie osądzą. Nie mogę dopuścić, aby mienie rodu rozproszyło się i przeszło w ręce obce, gdy je uratować można. Jest to wzgląd wyższy, ale dla mnie rozstrzygający. Nie mogę się bawić w sentymentalizm. Rodziny arystokratyczne upadają, ubożają: kto może, powinien się starać na stanowisku utrzymać.

Z mej strony jednak gotówbym uczynić ofiarę. Wprawdzie nie miałem zamiaru żenić się, jednakże choć panny pochodzenie nie odpowiada mojemu, aby rozzbroić potwarze, no — gotów jestem ożenić się z p. Justyną. W ten sposób wszystko się skończy spokojnie i bez skandalu.

Radzca nie mógł więcej nic uczynić, tylko przyjął oświadczenie to do wiadomości i przyrzec poparcie gorące ze swej strony.

Zdaniem jego, choć postępowanie Brock'a wcale go nie zalecało z innych względów, rzecz była pożądana i nie do odrzucenia.

Wybrał się niefortunnym dziewczęciem do Justyny. Spotkawszy w salonie zdawna sobie znaną p. Jolantę, poufnie ją zapytał: co ona sądzi — jaką otrzyma odpowiedź?

— Odmówną stanowczo; to nie ulega najmniejszej wątpliwości — odparła z uśmiechem nauczycielka. — Baron nie znał chyba Justysi, pozew jej wysyłając w swaty. Dziewczę jest dumne, ceniące swobodę, nieprzywiązujące wagi do bogactwa, a baron osobiście jest dla niej najwstrętniejszym z ludzi.

— A, pani! — przerwał nieco zgorszony Radzca,

który szanował w baronie jego stanowisko — jest to osobistość ze wszech miar godna i szanowana.

— Być może, ale dla kobiet, dla nas, antypatyczna — dokończyła Jolanta. — Siadaj pan: Justka przyjdzie natychmiast.

Stary Radzca zajął miejsce i nie tracił nadziei.

Od czasu tego, co ona sama zwała swem wyswobodzeniem, to jest od chwili, gdy protest Brocka był jej wiadomym, Justka daleko się okazywała swobodniejszą i weselszą. Płakała po dziadku, wspominała go często, lecz chwilami twarzyczka się jej rozjaśniała, jakby się do życia uśmiechając.

Radzca był uderzony tym wyrazem spokoju i pogody, jaki w niej spostrzegł. Niepodobna było jej posądzać o udawanie; cała natura i charakter odpychały to posądzenie.

Podala rączkę opiekunowi i pocałowała go w ramię.

— Przychodzę z dobrą wiadomością — rozpoczął. — Wie p. Justyna? Proces chce baron umorzyc, wszelkich pretensyi się zrzeka.

— I cóż za to? — odparła dosyć pogardliwie.

Zmieszał się Radzca.

— Pani się nie domyśla?

— Nie śmiem. Mów pan.

— Żąda tylko ręki pani.

Justka się rozśmiała.

Ale to istotnie ofiara ogromna! — rzekła szylersko. Majątku się wyrzec, a wziąć taki ciężar nudny na siebie, taką nieznośną, jak ja, istotę? Któżby miał sumienie przyjąć taką ofiarę?

Ruszyła ramionami.

— A w dodatku — dołożyła, widząc pomieszanie Radzcy — ludzie-by jeszcze osądzili, że w ten sposób, nietylko majątek chce zagarnąć, ale żonę dostać, o którą inaczej byłoby mu trudno. Niech baron zabiera co do niego i rodziny należy, ale ja — pragnę być i pozostanę wolną.

Oświadczył mu pan wdzięczność moją niezmierną — nie czuję się godną! Nieboszczyk dziadzio powtarzał zawsze: — On może być ministrem! Proszę — sobie wystawić biedną taką prostą dziewczę, niegdyś służebną, żoną takiego dygnitarza! Co za temat do paskwilów dla jego antagonistów!

Radzca zabrał głos; starał się nawrócić, przekonać, skłonić i nalegał na to najmocniej, żeby Justka tym sposobem spełniła najgorętsze życzenie nieboszczyka.

Spuściła oczy.

— To może być prawdą — rzekła — lecz pocziwy, dobry dziadzio nigdy mnie nie zmuszał do tego, a ja... ah! panie Radzco, ja, nawet dla dziadka popełnić-bym nie potrafiła tego czynu upadającego mnie — nie!

Trzeba więc było poprzestać nalegań i opiekun odszedł zasmucony. Baron, który miał nieploną nadzieję, iż heroiczną jego ofiarę przyjąć musi Justyna, został tem niepomiernie zdziwiony i oburzony.

Przechodziło to jego pojęcie.

— Państwo więc — odparł — spodziewacie się utrzymać z testamentem? a ja zaręczam wam, że choćbym miał iść do najwyższych instancyi, do ogólnego zebrania, do tronu, praw rodziny się nie rzeknę. Koszta będą znaczne.

Radzca nic nie odpowiedział.

— Z mej strony — dołożył jeszcze Brock, — uczyniono cotylko było możliwym, aby pieniactwa uniknąć i zaspokoić wszelkie, jakiegokolwiekby, wymagania. Umywam ręce.

Po wyjściu Radzcy Justka się rzuciła w objęcia Jolantie, zapłakana.

— I tę upokarzającą przeżyć musiałam propozycją! — rzekła. Jakież on o mnie ma wyobrażenie!

— Powiedz: jakie daje o sobie? — odparła Jolanta. I na tem się skończyło.

Ze wszystkich, którzy się tej zimy zbliżyli więcej do Justki, p. Leon był może w położeniu najbliźniejszym. Bronił się zakochaniu, tłómaczył się przed sobą, że nie mógł, nie powinien i nie

kochał się, a tymczasem szalał i chodził z gorączką w sercu.

Nawet grożące Justynie ubóstwo nie odstraszało go. Napisał list do matki tak niedorzeczny, tak zapalczywy, że biedna Sędzinka, odebrawszy go, przeleżała się, chciała mu nakazać, aby natychmiast powracał.

Passya ta, w praktycznym i stosunkowo chłodnym Leonie, była czemś tak zadziwiającem, że matka wierzyć jej prawie nie chciała. Nie można jej było wytłómaczyć, ale—istniała i Leon chodził nieszczęśliwy, zmieszany, dobijając się do drzwi Justki. Tu go nie dopuszczano.

Na wezwanie matki nie tylko się nie stawiał w Baranówce, ale odpisał w sposób tak gwałtowny, iż Sędzinka—gdyby nie gospodarstwo—gotową była sama jechać po niego. Tymczasem jednak pod błogosławieństwem nakazała powrót, ale, że nie oznaczyła terminu, Leon mógł go zwlekać. Tak był rozdrażniony i rozgorączkowany, że się ważył list napisać do Justki, ale ten panna Jolanta, wraz z innemi, przejęła i zniszczyła, bo była przez nią o to proszona.

Daleko praktyczniejszym od tego sławionego z praktyczności młodzieńca okazał się p. Aureli. Ubolewał on nad losem pięknej Justyny, ale sobie wieszował, że się nie oświadczył jej, a nawet z naiwną otwartością powtarzał to przyjaciółom.

Ponieważ Leon się przed nim nie tał ze swą namiętnością—i z gotowością do ożenienia—Aureli niemal tryumfował nad nim, z tem większą lekkością mówiąc o staraniach, o zalotach i o panie Justynie nawet—tak, że z Leonem przyszło do cierpkich przemówek i rodzaju—kłótni.

Ze swych dawnych wielbicieli panna Justyna teraz nie przyjmowała i nie widywała nikogo, oprócz Zygmunta i profesora Dobka. Co nadal zamierzała począć—nie było postanowionem. Zdania się wielce różniły. Panna Jolanta odradzała poświęcenie się nauczycielstwu, dawanie lekcyi, zakładanie szkółki, do czego Justka najwięcej miała skłonności.

Zygmunt radził rozpatrzenie się, cierpliwość, wyczekiwanie, a opiekun i większość przyjaciół byli tego zdania, iż trzeba będzie czekać końca processu, który, pomimo wpływów barona, musiał, ich zdaniem, wypaść na korzyść Justyny.

Ile razy mowa o tem była, dziewczę z gwałtownością wielką protestowało.

— Państwo więc mnie nie rozumiecie — zawołała Justyna. — Jak tylko jest proces, jest ktoś, co się o ten majątek wykopina i może jakiegokolwiek do niego prawo wykazać: ja ustępuję dobrowolnie, ja nie chcę nic—i, gdybym nawet wygrała sprawę, ofiary dziadunia przyjąć mi się nie godzi. On czynił ją w dobrej wierze, biedny stary niewiedząc może, iż rodową majątnością rozporządzać nie ma prawa. Nie chcę, aby to miał na sumieniu! Urodziłam się ubogą, cudem odebrałam wychowanie; zostawił mi zasób na rozpoczęcie pracy: dlaczegożbym ja nie miała o własnej sile iść dalej?

W kilka dni potem, gdy w saloniku nie było nikogo prócz niej, Jolanty i Zygmunta, Justyna spytała nagle przyjaciela:

— Pan, co wszystko wiesz, powiedz mi, czy na założenie, na przykład, magazynu lub czegoś podobnego—wielkiego potrzeba kapitału?

Zygmunt podskoczył do góry.

— Tego tylko brakło, ażeby pannie Justynie przyszła myśl założyć jaki magazyn. Z jej wykształceniem, wychowaniem, nauką....

Jolanta silnie też zaprotestowała.

Justyna słuchała cierpliwie.

— Zdaje mi się, że państwo nie macie słuszności—rzekła. — Mając uczucie piękna i smak, a sumienie w dodatku, w tym zawodzie użyteczną być można; a on dalby niezależność, której stan nauczycielski nie przynosi.

Pan Zygmunt począł w to bić, iż modystka musi schlebiać płochym instynktom, musi się posługiwać reklamami, a p. Justyna do tego usposobioną nie była.

Napadnięto na nią za pomysł tak niedorzeczny. — Ale przecież ja coś zrobić muszę! — odparła

zimno. — Mam trochę grosza, o którym mówicie, że go sumiennie zatrzymać mogę: dlaczegożbym go nie miała użyć na jaki warsztat, zakład, skład co chcecie.

— I pani z tym ideałem w duszy!—zawołał Zygmunt.

— Doskonale mogę być szwaczką!—roześmiała się Justyna. — Nie godzę się z tymi, którzy nie umieją prozaicznej pracy dla chleba pogodzić z miłością poezyi. Mnie się zdaje, że ta proza godzi się doskonale z ideałem i nie pozwala, ażeby człowiek nie stał się istotą bezsilną i nieszczęśliwą.

W pracy takiej jest przeciwwaga potrzebna i zdrowa.

Nie chciano słuchać jej rozumowania; zahuczała ją Jolanta, połał ją p. Zygmunt: zamilkła, lecz widać było, że jej nie przekonano.

— Co do mnie—odezwała się Jolanta—zapowiadam, że temu niedorzecznemu projektowi, kaprysowi raczej, całą siłą mojego wpływu opierać się będę. Pięknie-bym wyszła, żebym po hrabiach i księżniczkach, którem wychowywała, miała się chlubić wychowanicą modniarką!

— Ale toby była profanacja ducha! — wołał Zygmunt, to nie będzie, to być nie może.

Justyna milczała.

Następnych dni, niespokojny, Zygmunt, czując że nie była przekonaną i że ta myśl pracy bardzo trywialnej, powszedniej, tkwiła w niej, sam o tem rozpoczął rozmowę. Justka podniosła ku niemu swe wielkie, wyraziste oczy, jakby błagając, potem wysłuchiwała fantastycznych jego wywodów, iż duch ostyga, umysł rdzewieje, człowiek dziczeje przy pracy bezmyślnej, odpowiedziała mu krótko:

— Pan mnie nie zrozumiałeś.

W chwilę potem, o czem innem mówiąc, Justka powtórzyła Zygmuntowi od niego samego słyszane wyrazy, że pierwszym jest obowiązkiem człowieka zdobyć sobie niezależność i nie wystawiać się na niebezpieczną walkę z nędzą przez pychę; że każdą pracę uczciwą, cel, myśl jej uszlachetnia.

Zygmunt usiłował rozróżnić kobietę od mężczyzny w stanowieniu o losie, w wyborze położenia, ale go Justka zbiła z łatwością.

— Nie chcesz pan przyznać, że ja mam słuszność—dokończyła. — Ja w moich własnych oczach więcej będę warta, wyczekując processu i spadku, a zostając choćby skromną modystką—niżeli gdybym się wydartym komuś majątkiem chlubić miała.

Ukloniła mu się nisko.

— Ale dlaczegoż pani wybierasz sobie stan czy powołanie, tak osławione modystki?—zapytał Zygmunt.

— Bo do innego nie czuję się uzdolnioną bez nowicyatu. Poradź mi pan co innego! Rękawicznictwo? szycie bielizny? no—szukaj.

— Wszystko to należy do tej kategorii, która dla p. Justyny nie powinna, nie może być stosowną—zawołał przyjaciel. — Niech mnie pani nie wysmiewa jako sofistę, ale ja pani powiem, że postąpiłabyś bez sumienia, tak, bez sumienia, obierając ten, nie wiem, stan czy powołanie?

Wie pani dlaczego? bo p. Justyna ma tysiąc środków rozwiązania zagadki życia—a są biedne dziewczęta, które mają tę jedną i jedyną tylko drogę. Pani więc im odbierzesz chleba kawałek?

Rozśmiał się, rad z rozmowienia.

Justyna się skrzywiła.

— Mylisz się pan—rzekła—ja nie mam innego środka wyjścia z tego zawikłania, prócz pracy. Do żadnej innej nie czuję się zdolną.

Spuściła głowę.

— Jest to skromność — odparł dokuczliwy Zygmunt,—nie gniewaj się pani, skromność, która kryje dumę: chcesz pani być najznakomitszą z modystek, a lękasz się w innym powołaniu współzawodnictwa.

— Mogłabym się za takie posądzenie pogniewać, doprawdy — odezwała się Justka — bo nie wiem czy mi pan możesz próżność zarzucić — ale — przebaczam. Wistocie nie chciałabym stać w ostatnim rzędzie, gdy mogę w jednym z pierwszych.

Dodam na moje niewinnienie, że, jako modystka, mogę choć w małych rozmiarach wpływać na to, aby słuszną chęć ustrojenia się dla pociechy ludzi, nie przechodziła w marnotrawstwo i umiała się połączyć z prostotą i powagą.

Z tego powołania moralizatorskiego modystek p. Jolanta i Zygmunt tak się poczęli wysmiewać, że Justka, sama rozśmieszona, umilkła.

Czas tak uchodził w położeniu dosyć dla sieroty przykrem. Dom był zamknięty, ona czuła się przedmiotem rozbudzonej ciekawości, więcej niż sympaty; proces obiecywał się ciągnąć bardzo długo. Co miała począć? Ta tymczasowość użyła ją i męczyła widocznie.

Po kilkakroć zaklinała Radzcę-opiekuna, aby jej pozwolił się wyrzec testamentu; odpowiadał jej, że do tego nie miała prawa.

Wyjechać na wieś nie dozwalało jakieś uczucie przyzwoitości, bo się lękała posądzenia, że obejmując te posiadłości, których los nie był jeszcze rozstrzygnięty.

Twarzyczka jej, na jakiś czas rozjaśniona, poczęła się znowu okrywać wyrazem smutku. Chudła, mizerniała, chodziła zasmucona. Muzyka stała się jej obojętną, książki brała i rzucała, nie rozumiejąc co czytała.

— Raz potrzeba temu jakiś koniec położyć!—odezwała się do Zygmunta, ale on do tych wyrazów zbytnej wagi nie przywiązywał.

Pan Zygmunt siedział zrana w swoim, bardzo skromnym, mieszkanku kawalerskim, przy śniadaniu, składającym się z filiżanki kawy i bułki, przerzucając przyniesioną mu gazetę, gdy zastukano do drzwi i, rzadki bardzo gość u niego, ukazał się posłaniec z kartką. O adresie p. Zygmunta mało kto był uwiadomiony; list dla niego stanowił niespodziankę. Wstał żywo, aby się przekonąć, czy nie przez omyłkę go tu przyniesiono.

Na bilecie poznał mało sobie znaną, ale ogromnymi rozmiarami pochyłych liter, odznaczającą się rękę p. Jolanty, która do niego nigdy nie pisywała.

Przestraszył się, bo mu na myśl przyszła zaraz Justyna.

Posłaniec nie potrzebował odpowiedzi; na bilecie było skreślone: aby przybył natychmiast w interesie bardzo pilnym.

Nie było wątpliwości: coś zaszło ważnego w tym domu! Zygmunt zerwał się natychmiast, począł się ubierać, gdy jeszcze niezamknięte drzwi dały widzieć nadbiegającego Leona.

Zbliżył się on od pewnego czasu do p. Zygmunta, jedynie dlatego, aby od niego się coś dowiedzieć o Justce.

Wpadł do pokoiku pośpiesznie, zadyszany i nim się przywitał—zawołał:

— Pan już pewnie wiesz!

— O czem?—zapytał Zygmunt.

— Panna Justyna od wczoraj wieczora znikła.

Oślupiał Zygmunt.

— Co pan mówisz!—ofuknął go—jak to może być! Ja tam byłem wczoraj.

— A dziś rano wszyscy potrwożeni, p. Jolanta i Radzca rozbiegli się jej szukać. Wyszła do kościoła na nieszpouy i nie powróciła. Mówią o zostawionym liście do p. Jolanty, ale mnie tam nie dopuszczono.

Z zacisniętymi ustami stał Zygmunt na środku pokoiku, zmieszany i milczący.

— Pierwszy raz o tem słyszę—rzekł, starając się pohamować—ale oto właśnie odebrałem wezwanie Jolanty, abym tam przybył: spieszno mi ubrać się i iść.

Leon zrozumiał, iż to znaczyło, ażeby dał mu się ubrać; miał rękawiczkę niespokojnie.

— Pozwolisz mi pan — wyjąknął — p. Justyna mnie mocno obchodzi. Chciałbym się coś dowiedzieć, mogę być też użytecznym. Gdziebym pana spotkał?

— Nic nie wiem, nie postanowić i przyrzec nie mogę—odrzekł gwałtownie Zygmunt.—Przebac pan—głowę tracę.

Leon po chwili zmuszonym był opuścić podda-
sze; wyszedł zrozpaczony. W kwadrans potem
toczył się ze wschodów Zygmunt, jak lawina, spa-
dając na dół, i siadłszy do pierwszej lepszej do-
rożki, kazał jechać do domu barona.

Jolanta, zapłakana, w szlafrocuku rannym, bez
łoków, co jej twarz niezmiernie zmieniło, przyję-
ła Zygmunta na progu.

— Uciekła! — zawołała — uciekła!

Patrz! czytaj pan! niewdzięczna, nieopatrzna!
Jak ona sobie da na świecie radę i co ją czeka?

To mówiąc, panna Jolanta podała mu ćwiartkę
papieru, zapisaną ręką Justysi.

„Moja droga opiekunko, przyjaciele moi — nie
gniewajcie się na mnie, nie potępiajcie! Dzikie
stworzenie, nie daję się spętać. Wyrwam się
z więzów, uciekam, idę, nie wiem dokąd? gdzie
mnie przeznaczenie woła. Nie mogłabym dłużej
wytrzymać wyczekiwania, niepewności, bezczyn-
ności; idę — abym w ciszy gdzieś pracowała. Nie
lękajcie się o mnie; w pieczołowej wnućce dzie-
dunia, siedziała zamknięta dzika siostrzenica gu-
miennego.

„Nie chcieli mi pozwolić, abym postąpiła we-
dług mojej myśli, a ja czuję, że powinnam iść za
nią o własnej sile. Nie szukajcie mnie, proszę,
nie góńcie; bądźcie spokojni, zgłoszę się później“.

Oprócz listu do Jolanty był drugi, zimniejszy,
ale tożsamo powtarzający, do opiekuna. Justyna
w nim nanowo wyrzekała się spadku, prosiła, aby
baron Broeck wszystko zabrał, a jej tylko to za-
trzymać dozwolił, co miała z daru staruszka za
jego życia. Upewniała opiekuna, że wstydić się
jej nigdy nie będzie potrzebował, i że oddała się
tylko, aby zając się pracą.

Panna Jolanta przekonała się zaraz po odkry-
ciu ucieczki, że Justka swoje papiery i pieniądze
zabrała wszystkie, rzeczy — bardzo mało. Prosiła,
aby jej to zachowano aż do zgłoszenia się, a wra-
zie zbyt długiego niezgłoszenia się — sprzedano
wszystko, oprócz pamiątek.

Jolanta, czytając, słuchając, ręce łamała i płaka-
ła. Zygmunt, zaszepiony, rozmarzony, dowodził,
że niepodobieństwem będzie Justce tak się skryć,
aby oni jej nie wyszukali.

— Znajdziemy ją, musimy znaleźć; ja jestem
gotów temu się poświęcić, użyję wszystkich środ-
ków. Nie mogła pozostać w Warszawie, ale do-
kąd — dla pracy udać się miała? Do jednego
z większych miast? Przetrzęsiami je z kolei. Za
granicę? — nie wyjechała.

Nauczycielka i opiekunka, lękając się, aby ten
wybryk, fałszywie tłómaczony, sławie biednego
dziewczęcia nie szkodził — pragnęła utaić uciecz-
kę, ale nie było sposobu ani nawet myśleć o tem.
Wiadomość odrana się już była rozszła, a że
miała w sobie coś tajemniczego, pociągającego,
rozniesiono ją z komentarzami po mieście. Nie
brakło, naturalnie, takich, które z ucieczką panny
mieszały jakiegoś tajemniczego młodzieńca i ca-
łej przygodzie nadawały charakter skandalicznego
wypadku.

Ludziom pospolitym trudno było wyłożyć, dla-
czego dziewczę, chcąc pracować, musiało się wy-
swobodzić i uciekać.

Szczęściem, nie udało się nikomu tak ubarwić
tej potwarzy, aby ona, dla znających Justynę,
przybrała pozór prawdopodobieństwa.

Po długiej naradzie z p. Jolantą, uspokoiwszy
ją, oile zdołał, Zygmunt wyszedł, aby rozpocząć
poszukiwania, lecz do nich brakło nawet punktu
wyjścia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Lutym 1885 r.

Wystawy artystyczne cząstkowe. — Wystawa przy placu Ven-
dôme, i doroczna Akwarelistów francuskich. — Carolus Duran i
Meissonier. — Cypryan Godebski. — P. Detaille i jego akwarelle

z Rosyji. Pani Lemaire. — Jeszcze p. Caro. Charivari w Sorbonie.
Śmierć i pogrzeb Vallés'a. — Demonstracje burzliwe. — Niemiecy
socjaliści i francuscy studenci. — Mityng anarchistów na Placu
Wielkiej Opery. — Rzeczywistość i Muzy. — Wiadomości tea-
tralne. — Felix Piat i jego nowy dramat *Wyrobnik*. — 83-cia
rocznica urodzin Wiktora Hugo. „*Sic vos non vobis*“ — Śmierć
hrabiny Andrzejewej Mnischowej.

Luty sypnął nam całą garscią nowinek; wiado-
mości brukowych i literackich — jest siła. Potrzeba
tylko wybrać i ułożyć wiązanek, aby ta przypa-
dła do smaku czytelnikom naszym.

Zaczęło się to naprzód od wystaw malarskich,
które się tu zwykle otwierają o tym czasie i słu-
żą za wstęp, za przedmowę do wielkiej wystawy,
dawniej przez rząd, dziś przez stowarzyszenie
artystów francuskich urządzonej na Polach Eli-
zejskich.

Jedną z tych wystaw, niby prywatną i umie-
szczoną pod patronatem „Klubu Mirlitonów“
w Hotelu Wandomskiego Placu — i do której
wchodzi się jedynie za biletami, hojnie przez
członków klubu rozdawanymi, jest przecież
w gruncie publiczną — bo ludzi z dobrą miną i
w porządnej odzieży o owe to bilety ani pytają —
pomiędzy więc drugą a szóstą godziną wieczorną
ścisk jest tak wielki, że połowa ludzi wychodzi
z oberwaniami połamami, nie dlatego, żeby ta expo-
zycja była arcy-artystyczną, ale dlatego, że jest
w modzie.

Główną rolę odgrywa zwykle malarz Caro-
lus Duran. Ma on tu dwa portrety: pani brabi-
ny *** i własnego syna wyrostka. Kolorysta,
zdolny zasmarować choćby największe płótno,
Duran miał tu swój czas, swoje wzięcie i wiel-
ką modę; dziś to przeszło — a jego portrety, nie-
mające zalety innej, prócz zręcznie malowanej
postaci i damskiej szczególnie odzieży, nie wy-
stydowane zadosyć, ani pod względem podobień-
stwa, ani pod względem charakteru, straciły
dziś całą dawniejszą, jak tam powiadają, attra-
kcyjną i nie ściągają już wielkiego, dawnego natłu-
ku ciekawych.

Meissonier wystawił dwa obrazy: powinie-
nem był zacząć od tego, ale tą razą mistrz rów-
nież nie dopisał. Pierwszy: „Widok brzegów Sek-
wany za mostem w Poissy“, rzecz wyjątkowa
zupełnie u tego malarza, niema żadnej z tych za-
let mistrza, które publiczność tutejsza tak do-
skonale zna i ceni; to też nikt prawie się nie za-
trzymuje nawet przed tym obrazkiem, który wy-
gląda raczej na jakies dorywcze studium, wędro-
wnego bez celu artysty, niż na skończone dzieło
Meissoniera. W drugim obrazie: „Zabawa w krę-
gle w okopach miasta Antibes (w Prowancyi)“.
Meissonier jest w swoim żywiole. Pod słońcem
Prowancyi, z malowniczym niedbalstwem kostiu-
mów, rozgrzanych zabawą kręglarzy, Meissonier
odnalazł wszystkie swoje efekta rysunku i kolo-
rytu. Może ta zbyt brzuchata i zaokrąglona ba-
szta starego zamczyska nadto zabiera miejsce
w obrazie, ale to się okupuje pięknem ukła-
dem grupy zajętej grą w kręgle i bardzo tra-
fnym oświetleniem całego obrazu. Jest to praw-
dziwa ozdoba tej wystawy, a powiedzmy, i jedy-
ną wartość artystyczną — co do malarstwa.

W liczbie niewielu bardzo szycerzy jest i nasz
rodak, Cypryan Godebski. Bardzo wdzięczne,
bardzo szycowne, dwie brązowe grupy: „Pocału-
nek pański“ i „Pocałunek chłopski“, zwracały
uwagę znawców i profanów, bo to każdemu jakąś
przypomina chwile. Zresztą panowie i chłopci
całują się smacznie i dowodzą jasno, że artysta
Polonus umie nie tylko pracować dla sztuki.

O reszcie zamilczam, bo śpieszę na wystawę
akwarelistów, na której obiecano nam, że zoba-
czymy cuda doskonałości. Pana Detaille'a „Po-
wrót z Petersburga“, „Wielkie manewra“, miały
nam dać ostatnie słowo i akwarelli i artyści, jako
malarza żołnierzy. Owoż, rzecz, zbyt przechwa-
lona, okazała się w mniejszej wartości, niżeli
oczekiwanie publiczne. Nie chcę tu wcale utrzy-
mywać, aby p. Detaille nie był i tu, jak zawsze,
bardzo biegłym akwarelistą, ale jego żołnierze
zpod Petersburga, to są Francuzi w rosyjskich
mundurach. Niema ani w ich poruszeniach, ani
w ubraniu, ani w sposobie przedstawienia tego, co
jest w ich naturze, i co my tak dobrze rozumiemy.
Jego Kozacy, to są Batiniolczycy tutejsi, w długich

kaftanach: jednym słowem: od officerów do osta-
tniego dobosza są to pięknie malowane lalki
paryzkie. Jedną rzecz tylko dobrze z natury
schwycona: oto jakiś wiejski zakątek, jakaś
część ulicy pod obozem kawaleryi, — za to się ma-
larzowi należy pochwała, — ale reszta, ani się
może zbliżyć do jego Francuzów i Anglików, da-
wanych naszych znajomych.

O reszcie, chociaż to są zawołani tutaj akwa-
relliści, niema co mówić. Jest to zawsze tażsama
biegłość, wprawa, ale na tegorocznej wystawie,
ani Neuville, ani Vibert, ani nawet stary Lami,
nie mają nic wybitnego. Ratuje tę wystawę nie-
zrównany w swej delikatności i w swem *brío* ta-
lent pani Lemaire. Jej kwiaty są niezrównane,
chce się je prawie zrywać, a dotknąć się człowiek
nie śmie, takie to powietrze czarujące przejrzy-
stością i blaskiem barwy. Ażeby pokazać, co
może ta rączka kobiety, pani Lemaire ma tu por-
tret kobiety, malowany naszaro, a więc pozba-
wiony najwyższego wdzięku, a tak piękny, tak
pełen życia, i tak mistrzowsko wykonany, że
trzeba zdjąć rogatywkę i bić czołem.

Kiedy tak jedni nie mogą się nasycić i nachw-
lić i szumnymi oklaskami wynoszą w górę mi-
strzów sztuki, — drudzy znowu, korzystając z pre-
textu, dają niby naukę sławnym i również laura-
mi oklaskami okrytym mistrzom. W ostatnim
liście, mówiąc o śmierci i pogrzebie Edmunda
Abouta, mówiłem i o mowie wygłoszonej na gro-
bie zmarłego przez p. Caro. Kilka słów, choć bar-
dzo wstrzemięźliwie wypowiedzianych, o wolno-
myślnej dążności zmarłego, przez filozofa z Sor-
bony, obudziły, jak się należało spodziewać, obu-
rzenie w pewnym obozie racjonalistów dwudzie-
stoletnich, a może i starszych instygatorów, go-
towych zawsze popchnąć gorącą młodzież na
drogę hucznej, burzliwej protestacji. Zebrana
więc drużyna, pod tytułem uczniów szkoły me-
dycznej, doskonale urządzonym koncertem świs-
tań, krzyków i kwiczeń przyjęła p. Caro na jego
prelekcji. Wytrawny professor nie zmieształ się
wcale, czekał, aż się wygwizdzą do syta, a pod-
trzymywany przez wyłącznie mu oddaną publicz-
ność jego kursów i przez poważnych słuchaczy,
walczył do ostatka nieustępując kroku i został
na katedrze do końca swej lekcji, powiedziawszy
te pamiętne słowa, wyrzeczone niegdyś w tejsa-
mej sali, przez p. Nizard'a — „Jesteście mi wszy-
scy nieznanymi, ale wiedźcie o tem, że ja mojego su-
mienia nie oddam za wasze.“

Na lekcję następną chciano użyć policyi, dla
ukrócenia skandalu, ale p. Caro tymczasem wolał
zawiesić wykład swych lekcji, niż się uciekać do
tak niebezpiecznych środków.

Ciżsami, zapewne liberalni, ludzie, którzy sta-
rali się stłumić głos znakomitego profesora, zna-
leżli wkrótce okkazy, aby na daleko szerszą mia-
rę, zaaplikować swoje burzliwe objawy. Pogrzeb
zmarłego Vallés'a, słynnego ze swej, prawie dzi-
kiej, a tak doskonale obrachowanej na głupotę
ludzką, radykalnej opinii, dał powód do manife-
stacji socjalistów, sympatycznej, i do antypatycz-
nej, anarchistów; ale ci ostatni, liczebnie zna-
lazszy się w mniejszości, zatonęli w powodzi so-
cjalistów — i oba sztandary, czerwony i czar-
ny, po bratersku rozwinęły swe fałdy. Na nie-
szczęście, socjaliści niemieccy chcieli tu dorzu-
cić swoje trzy grosze — i podnieśli rodzaj sztanda-
ru z wieńcem fijołków, noszącym wewnątrz na-
pis: „Socjaliści Niemieccy z Paryża Juliuszowi
Vallés'owi.“

Skoro się tylko ukazał ten sztandar, zaraz
grupa młodych ludzi, powiadają studentów, za-
częła krzyżeć: „Precz z Niemcami!“ i rzuciła się,
aby wydrzeć ów sławny sztandar. Niemcy trzy-
mają się kupy, a wspomagani przez Francuzów,
z którymi przyszli, zaczynają bójkę naprawdę.
Młodzież, odparta po dwakroć, naciera na ten
germański ordynek i dwa razy ze stratą idzie
w rozsypkę. Potłuczonych okien niema co liczyć, a
co się dostało nosom, ile oczu podbito, a najczęściej
czysto ciekawym przechodniom, to się nie da
obrachować. Niemcy utrzymali się jednak i swo-
jego Widukinda, jak to przewano tutaj, donieśli
cało na cmentarz i aż na grób nieboszczyka.

Człowiek ten nie był wart, ani tyle hałaśliwe-
go zapału, ani tyle gniewu, ile te hałaśy z dru-

giej wywołały strony. Mielismy już dawniej sposobność powiedzieć o nim kilka słów, jako o pisarzu i dziennikarzu, z powodu jego książki pod tytułem: *Bakalarz*. Polityczna rola, jaką odegrał w ostatnich czasach Cesarstwa, za czasów Komuny Paryzkiej i po Komunie, pokazuje człowieka słabego i nieudolnego moralnie, ale pełnego zarozumiałości i pychy, ukrytej pod pozorami demokracji i obrońcy ludu. Najlepiej go maluje własne jego dzieło: „Wspomnienia Komuny Paryzkiej“ ogłoszone w *Przeglądzie Julietty Adam, La nouvelle Revue*. Zawisć, zarozumiałość, nieudolność, moralna głupota i tchórzowstwo: oto są wybitne znamiona tej postaci, którą doskonale schwytał i wyraził jego blizki przyjaciel Gill, w karykaturze, na której widzimy Vallès'a w postaci okropnego kundysa z rądem uwiązany do ogona.

Z wyjątkiem kilku najbliższych przyjaciół cały ten tłum, zebrany na pogrzebie, składał się z ludzi, dla których Vallès, nie miał ani znaczenia, ani wartości. Był to pretext do manifestacji *sui generis*, gdzie każdy chciał dołożyć swoje trzy grosze, a część największa gnana była ciekawością właściwą Paryżanom, znaną dobrze całemu światu. Nie pytają się oni wcale o co tu chodzi—o wielkiego człowieka, czy o ostatnią ulicznicę,—byleby popatrzeć na zbiegowisko, i jeśli można, zobaczyć coś, co przypomina ową rewolucję, którą, tak drogo przecież opłacał zawsze Paryż, ale to jest ostatnia rzecz, która może się rozwinąć w tych głowach.

Najlepszym tego dowodem jest ten rodzaj mitingu albo demonstracji, zapowiedzianej na kilka dni właśnie przed śmiercią Vallès'a, przez komitet anarchiczny — i zwołanej, na plac przed wielką operą, to jest do części Paryża, zamieszkałej i uczęszczanej przez najbogatszych i najzamożniejszych ludzi w każdym względzie. Policja i wojsko rozpędziły ciekawych, z których niejeden dostał po uchu; a anarchiści tymczasem, przynajmniej główni przewodcy tej partii, siedząc w blizkich kawiarniach, śmieli się z głupich gapinuchów, popijając ponczyk albo gorzałkę.

I rzecz dziwna, tam, gdzie nie było ani cienia protestujących anarchistów, policja wystąpiła z bronią i *in tutti fiocchi*; tutaj, na tym pogrzebie Vallès'a, gdzie z pewną ostentacją wyniesiono w górę i rozwinięto olbrzymią czerwoną i obok drugą czarną chorągiew, policja została na boku i wtenczas nawet kiedy młodzież napadła na Niemców, zostawiając samej publiczności załatwienie tej sprawy domowej i sprawa też załatwiła się porządnie dla tych, którym szyby, albo gorzej, nosy, potłuczono.

Dzieją się dziś na świecie rzeczy ważniejsze. Kilka stłuczonych nosów czyż może isć np. w porównanie krwawymi zapasami Anglików nad Nilem? Śmierć tak straszliwa, tylu znakomitych, wyższych officerów, tylu dzielnych żołnierzy! Śmierć, na którą śpieszą, z takim bohaterstwem, jakby zakochani w niej, Arabowie... Tam, gdzie na szeregi najeżone bagnietami, bronione armatami, jak mur żelazny stojących żołnierzy—widzimy Arabów, w jednej koszuli, boso, z nędzną dzidą w rękę, idących bez wahania się, bez mrugnienia okiem, łamiących potrójne rzędy w czworobok zamkniętej kolumny angielskiej, wdzierających się do jej rdzenia, do środka i umierających z uśmiechem, na trupach nieprzyjaciół,—wobec takich wypadków, czyż warto jeszcze czas tracić, rozmyślając nad tem śmieciem z bruku paryzkiego? Zgodzicie się ze mną, że nie warto. Przejdźmy też do innej materii, do owej, co tu najlepiej, najsowiciej popłaca, do teatru.

Wielkie a tak łatwe korzyści, jakie wielu z tujszych pisarzy wyciągnęło z teatru, nie mówić już o chwale, bo ta w świecie realizmu bar-

dzo dziś podrzędną odgrywa rolę, musiało być niezmierną przynętą dla wszystkich, co się posługują piórem. Konkurencja jest niezmierna, a choć, nim się dostanie setny zaledwie do tej zczarowanej krainy Paktolu, dziewięćdziesięciu dziewięciu utonie w brudnej i mętnej powodzi, na amatorach nie zbywa.

Ostatnimi czasy przybyło nawet nowych ochotników, z obozu powieściopisarzy. Udało się dwóm czy trzem, że przeróbki z ich powieści powiodły się znakomicie na scenie. Każdy więc dziś przerabia, a chociaż trudno jest czasem z kamizelki zrobić frak wyborny, tem się nikt nie zraża i ludzie się tłoczą w dyrektorskich sieniach, bo przez nie idzie droga do fortuny.

(Dokończenie nastąpi).

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: *Stawka na loteryi życia*, przez autorkę *Panny Mani*.

Tom pierwszy dzieła pod tytułem:

PISMA NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

z życiorysem skreślonym

przez

Dra PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO

w przyszłym tygodniu opuści prasę.

Całość składać się będzie z 5-ciu tomów; tomy wychodzić będą w przerwach kwartalnych.

Wydanie to zawrze w sobie to wszystko, co mieściło się w pismach zmarłej autorki, wydanych w 1861 r. (zupełnie wyczerpanych), oraz powieści i utwory literackie oddzielnie wydane lub w pismach peryodycznych zamieszczone.

Poetyczność Żmichowskiej była jednym z rzadkich zjawisk duchowych. Wiersz stanowił dla niej tylko jedną z form, w których objawiał się samorodny, oryginalny talent. Poetką była autorka POGANKI we wszystkim, co napisała w epoce swej twórczości. Powieści jej prozą są takimisamemi i można powiedzieć wyższemi poematami, od jej utworów pisanych wierszem. Proza Żmichowskiej jest w wysokim stopniu poetyczną, samodzielną, jej własną a piękną—jak proza Słowackiego lub Krasińskiego. Jest to wyższy, niepospolity talent — a dość go poznać, aby go uczcić, jak na to zasłużył.

Prenumerata wynosi:

Dla prenumeratorów „Bluszczu“

W Warszawie rs. 5, z przesyłką rs. 5 kop. 50.

Opłacać można częściowo co kwartał

W Warszawie rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Osoby z prowincyi nadsyłające odrazu prenumeratę za wszystkie 5 tomów, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Dla nieprenumerujących „Bluszczu“

Cena egzemplarza wynosi rs. 7 kop. 50, z przesyłką rs. 8.

TREŚĆ. Pogawędka. — Słowik, poezya, przez Łajkę Turenti. — Generał Gordon. (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Pożywienie ducha w mieście obłożonem, przez Maryą Ilnicką. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryzki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Stawka na loteryi życia*, przez autorkę „Panny Mani“. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Февраля 1885 года.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 10.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Przeгляд mód.

Tualety w nowej komedii „Dora“. — Krenoliny. — Suknie koronkami strojne. — Wachlarze. — Biżuterje. — Mufki. — Pończochy kolorowe. — Bielizna z madopalanu. — Fartuszki nowomodne.

Komedia salonowa, zwłaszcza grana raz pierwszy, zwykle przedstawia tualety najświeższej mody, które też w Paryżu notuje się zawsze w pismach modom poświęconym, jako nowości w tym kierunku. Tualety w komedii „Dora“, z tego też względu zasługują na poznanie. Tualeta pani Lüde w 1 akcie: Na mocno pasowym jedwabiu szara „écru“ przezroczysta wełna, spód jedwabny wychodzący na dwa palce z pod szarego materiału — z tyłu duży puff; stanik przybrany klinami pasowego aksamitu, przez ramączka i około ręki także pasy aksamitu. Kapelusz pasowy, podpięty z przodu bukietem kwiatów. Druga tualeta na złotym atlasie, pokryta czarną koronką; do niej bardzo wysoki, może nawet za wysoki kapelusz, przybrany z przodu po-

marańczowemi bratkami aksamitnemi. Trzecia tualeta, najwspanialsza, była z jasno-oliwkowego pluszu i blado-różowego atlasu, suknia była balowa z trenem, co tylko na scenie dla młodych osób mieć może miejsce, dla efektu i parady, bo dziś młode osoby noszą treny tylko do ślubnej tualety. Tualeta cała była trzymana w tonie ja-

snym, blado-różowym, nie była przeładowana pluszem; w dole pas na 10 centim. szeroki okalał spódnicę, bok, plecy, przód stanika i rękawy pluszowe — reszta wszystko atlas blado-różowy, w bukietki ciemniejsze różowe. Na głowie pióra mieszane. Wspaniałą była tualeta margrabiny (p. Niewiarowska). Na pomarańczowym atlasie

kliny aksamitne czarne na przemian: jeden szerszym końcem ku górze, drugi ku dołowi jest zwrócony — miejsce pomiędzy klinami zapełniała koronka czarna — także stanik, tren aksamitny. Hrabina (p. Lebrun) jedną wspaniałą nosiła tualetę: przód na najmocniejszym kolorze koralu, pokryty horyzontalnie białymi koronkami, stanik i tren czarny aksamitny, gładki, zwany „man-teau de cour“, podbity atlasem koralowym, dziwnie puszysto się przedstawiającym. Na gustowne i młode tualety primadonny, to jest „Dory“, przedstawionej przez p. Marczello, zapomniało się prawie patrzeć, tak uwaga była całkowicie przez grę pochłaniana. Zwracamy uwagę czytelniczek, że obecnie przy ubieraniu sukien aksamitem, najmocniejszą ozdobą jest objęcie całej pa-



Nr 1. Okrycie z materiału w supełki.
Opis odwr. str. tabl.

Plecy. Nr 2 i 3. Suknia z aksamitu i popeliny. Prząd.
Opis odwr. str. tabl.

chy na dwa palce aksamitem, dwa wązkie śpiczaste kliny, zdobią przód stanika, jeden szeroki zdobi bok, a pół-rękawy prawie do łokcia obłożone aksamitem.

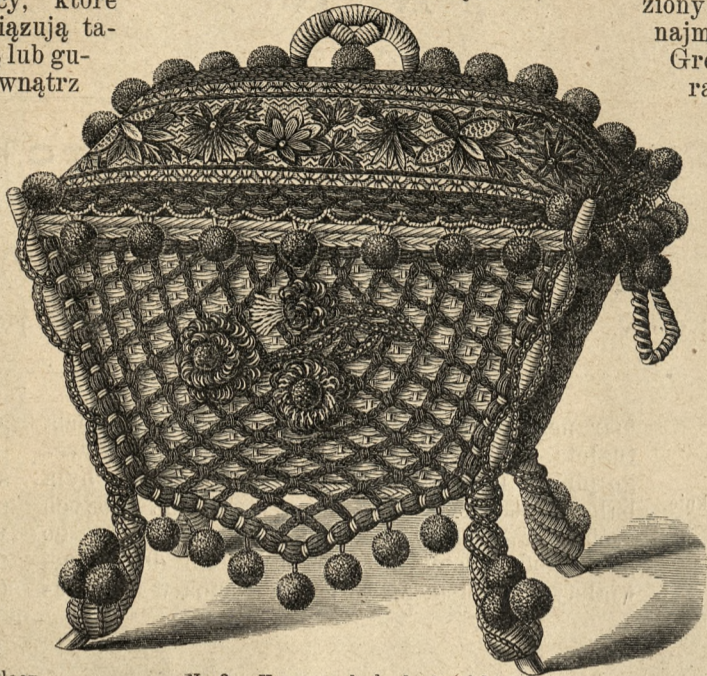
Co do krenolin, to tiurniury, czy w formie włosianych poduszeczek, lub naszytych falbankami z włosianej tkaniny, czy w formie dłuższych lub krótszych półkrynolin, muszą się utrzymać jeszcze długo, gdyż charakter mody wymaga tego koniecznie. Wiele osób, u sukien krótkich, noszonych powszechnie, zaciągają stalki w tylny bryt spódnicy, które się związują tasiemką lub gumą wewnątrz



Przód. Nr 5 i 6. Suknia z czarnego kaszmiru. Plecy. Krój i opis pier. str. tabl. Nr 1, fig. 1ab do 11.



Nr 4. Szlak do szala ryc. 21.



Nr 9. Koszyczek do drobnej bielizny (Do ryc. 17, oraz ryc. 36 w Bl. Nr 11).

przybranie do każdej strojnej sukni. Do lewego boku przypina się bukietem wstążka, na której z prawej wieszony jest wachlarz. Wachlarze ozdabiają malowaniem na ciemno-pąsowej, czarnej lub żółtej jedwabnej gazie. Modne są wachlarze z piór strusich, lub pawich, na podstawie z różnego cienia masy perłowej mozaikowej, filigranowej lub metalowej w stylu odrodzenia; kolje, broszki, szpilki do włosów, klamerki, bransoletki z metalu, „occide“, dzetowe, ze srebra lub grenatiny (najnowszy wynaleziony metal) są najmodniejsze. Grenatina wyrabia się po-



Plecy. Nr 7 i 8. Suknia z wełnianego materiału. Przód.

spódnicy; lepsze jednak zawsze półkrenoliny. suknie zaś z trenami używane li tylko przez starsze osoby do wielkiego stroju, wymagają osobnej półkrynoliny.

Koronkowe suknie są zawsze krótkie; używają do nich powszechnie materiału koronkowego „lama“ lub „mohairu“, od 1 metra szerokości. Wszystkie prawie strojne tualety przybrane są wolantami z szerokiej lub wązkiej, białej lub czarnej koronki. Wachlarze przywieszają się na wstążce z dwoma bukietami kwiatów: stanowi to najnowszy sposób modny noszenia wachlarza i bardzo ładne



Nr 10. Czwarta część pokrycia na poduszkę do oparcia głowy haftem hiszpańskim.

dobnie jak dzet francuzki, jest ciemno rubinowego koloru, wygląda jak duże szlifowane granaty i przymocowuje się jak dzet do metalowej podstawy.

Mufki zajmują wybitne miejsce w modach wiosennego sezonu, robią się z bardzo lekkiego materiału, jak koronek, wstążek i gazy, jeżeli mają służyć na wizytę lub do teatru, na spacer z cięższego zastosowanego do tualety materiału. Niezmiernie proste i praktyczne są mufki z owalnego kawalka, ściągnięte w poprzek na gumkę tak, aby formowały dwie muszle; obie połowy są



Nr 11 i 12 Kołnierzyk i mankiety z kolorowego hafeyku.

lekko podwatowane, lub podpięte w środku sutą kokardą ze wstążki, z ptaszkiem przypiętym ozdobną spilką.

Z wiosną tysiące przedmiotów tualety naszej odświeżać musimy i tak: zaczynając od pończoch, wspomniemy, że na wiosenne błota nosi się pończoszki kolorowe. Oglądaliśmy właśnie przy ulicy Wierzbowej w hotelu angielskim, w składzie p. Heleny Roszkowskiej; co do pończoch uważają się wyroby angielskie za najlepsze, otóż porównując je z najlepszymi angielskimi, znaleźliśmy je tak dobre, jak tamte, tylko w cenie wielka różnica, bo angielskie są nader drogie. Na wystawie pracy kobiet w 1877 r., wyroby tej fabryki odznaczone zostały medalem złotym, jako też w 1880 r. listem pochwalnym, a w sprawozdaniu w piśmie naszym, najwyższą zasługą fabryki jest



Nr 15. Suknia z dyagonalu. Plecy. (Do ryc. 13 w Blu. Nr 11).

Nr 16. Suknia z bęgaliny i adamaszku. Przód. (Do ryc. 12 w Blu. Nr 11).



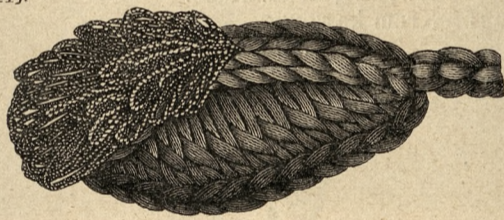
Nr 13 i 14. Kołnierzyk i mankiety płócienne przybrane koronką. Opis odw. str. tab.

pończoch p. Roszkowskiej, jako zasługujący na poparcie. Oprócz pończoch, pończoszek dzieciennych, skarpetek i t. p., pokazywano nam śliczne kaptanki trykotowe i mnóstwo innych rzeczy, w które skład ten jest zaopatrzony.

Bieliznę nie zawsze w domu szyć możemy, zwłaszcza gdy się nie posiada maszyny. Przy ulicy Bielańskiej Nr 5 w hotelu Krakowskim, w składzie białych towarów p. Kiersta, spotkaliśmy wszelkiego rodzaju bieliznę ślicznie odrobioną i o tyle tania, że doprawdy grzechem już jest dziś kupowanie jej za granicą, gdy się tam ktoś wybierze. Nie możemy dojść powodu, dla czego u nas tak niechętnie noszą bieliznę z „madopolanu“, ślicznego, miękkiego, gęstego bawełnianego wyrobu, kiedy we Francji najkosztowniejsza bielizna, ozdobiona prawdziwymi koronkami i ha-



Nr 18. Suknia wizytowa dla młodej panny. Opis pierw. str. tabl.



Nr 17. Pączek do koszyczka ryc. 9 robotą szydełkową. Połowa wielkości naturalnej.

to, iż przewodnicząca, jako pierwsza założycielka fabryki pończoch u nas w 1874 r., sprowadza ciągle ulepszone maszyny, ale głównie ona pierwsza rozwijając ciągle tę praktyczną gałęź pracy kobiecej, ustanowiła płacę od sztuki, obliczając to tak sumiennie, iż nie ma może stałego zajęcia kobiecego, któreby tyle dawało dochodu. W fabryce wyżej wspomnianej pracuje pięć sióstr rodzonych, które przybywały w miarę dorastania.

Pończochy z tej fabryki są bez szwu, w najrozmaitszych barwach, które przy rozzumnem praniu, nie zmieniają wcale koloru. Słowem ze wszechmiar polecamy skład



Nr 20. Krzesło składane.



Nr 19. Suknia wizytowa dla młodej panny. Opis odw. str. tabl.

ftami, robi się tylko z tego materiału. Doktorzy dowodzą, że bawełna przyjmując łatwiej wdzielinę potu, jest daleko zdrowsza; panowie i u nas po większej części noszą bawełnę, tylko my kobiety przyzwyczajone do wykwiutego płótna, gwałtem potrzebujemy droższej tkaniny, kiedy koszule z ząbkami, tiulczkami, szlaczkami haftowanymi z madopolanu, które nam p. Kierst pokazywał, nie do życzenia nie pozostawiały. Sliczne kaftaniki fasonu angielskiego, niby nieco do figury wpadające, były tak ładnie odrobione, że przy modelach zagranicznych pierwszeństwo otrzymać by musiały. Koroną tej rozmaitej bielizny dla każdej płci i wieku, były tak bardzo dziś noszone i modne białe fartuszki z dymek atlasowych w paski lub inny deseń; wszystkie miały napierśniki; sam-fartuszek ukrojony w kliny, ułożony w rozchodzące się od środka fałdy w plisowanie, niektóre oszyte tylko tkanym, mocnym nicianym tiulikiem, inne miały falbankę marszczoną w górze kilkakrotnie i w pasie napierśnik także przemarszczony.



Nr 21. Szal z chińskiej jedwabnej materii. (Do ryc 4)



Nr 22. Szal z materiału „surah“. (Do ryc. 42 w Bl. Nr 11).

dwa razy wszywane wszywki, czy to haftowane, czy wreszcie walansienowe, słowem wszystkie młode, ładne, gustownie, a każdy inny. Śmiało polecamy skład p. Kiersta czytelnikom naszym zawsze — z warunkiem, jeżeli same bielizny swej szyć nie mogą.

L. C.

Suknia z woli i aksamitu.

Rycina Nr 24 i 25

Spódnica oszyta bufami z blade-różowej woli, 20 i 60 cent. szerokiemi, oraz oszytym u dołu kremową koronką i ufalowanym wolantem, który zakrywa bufy. Nad wolantem znajduje się z tyłu i z lewej strony duża bufa, sięgająca aż do górnego brzegu spódnicy, a z przodu fartuszek oszyty koronką. Stanik z ciemno-pąsowego aksamitu i koronki, z tyłu szeroka atlasowa, tegoż co aksamit koloru, szarfa przyszyta do spiczasto zakończonych staniczka.

Opis ryciny 11, 12, 21 i 22 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do dzisiejszego numeru.



Nr 24 Suknia z woli i aksamitu. Przód. (Do ryc. 25).

Nr 23. Paltocik wcięty sukienny Opis odwr. str. tabl.

Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z kaczek z kluszciami i suszonymi owocami.
2. Pekefleisz — purée z kartofli i chrzanu.
3. Paszтет z kaczek we francuzkiem cieście.
4. Kwiczoły w słonice.
5. Krem kawowy.



Nr 28. Okrycie dla młodej osoby. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 11, fig. 12 — 16.



Nr 25. Suknia z woli i aksamitu. Plecy. (Do ryc. 24).



Nr 26. Część wąskiego szlaku do ryc. 38 w Blu Nr 11 robotą szydełkową. Wielkość naturalna.



Nr 27. Część szerokiego szlaku do r. 38 w Blu Nr 11 robotą szydełkową. Wielkość naturalna.